

J E R Z Y O S T R O W S K I

WIDŁY WISŁY I SANU

WARSZAWA — 1938

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”



R-424

~~62264~~

Drukarnia
Zakładów
Wydawniczych
M. Arct, S. A.
w Warszawie

449

~~515~~

181

MIASTO SPYTKA LIGĘZY

Rzeszów jest podobny do Łańcuta, Łańcut do Jarosławia, a Jarosław do Tarnowa i Przemyśla. Wszystkie leżą na pierwszych falach Podgórze, tuż przy torze kolejowym. Podwójna linia szyn ostro przecina krajobraz: na północ ciągną się już nadwiślańskie płaszczyny, na których jesienią zbierają się bociany, zanim postanowią przelot przez Karpaty.

Miasta te wyciągnięte są w linię, jakby były twierdzami przeciw grożącym najazdom. Ale nie tu nie grozi z południa ani z północy, i nie ma czego bronić, prócz chyba własnego bezruchu.

Znam na pamięć te miasta i rozkład ich dnia powszedniego, ale dlatego właśnie

trudno mi je teraz zobaczyć ostro i plastycznie. Muszę sobie dopiero przypomnieć dzień przyjazdu, żeby je dostrzec nowymi oczami.

Było to zimowe rano, w niczym nie podobne do zimy. Domy owinięte były w żółtą mgłę, a nogi przylepiały się do płytkiego błota. Od strony dworca szli kolejarze po nocnej służbie. Szli spać do swoich domów i wyglądało na to, że całe miasto teraz dopiero ma zamiar zasnąć na dobre.

Ale o pół do ósmej wszyscy wyszli nagle na ulice. Z każdej bramy, z każdej uliczki wychodziły coraz to nowe ciemne sylwetki i szły szybko, drobno, jak szczury zwoływane fujarką zaklinacza.

O ósmej starzy i młodzi wsiąkli już w urzędowe gmachy, dziwnie liczne w tym niewielkim mieście.

Miałem sposobność zobaczyć je od wewnątrz. Były przesiąknięte do jądra murów stęchlizną zleżałego papieru i zimnym dy-

mem tytoniu. Ich mieszkańcy czuli się tam jednak wygodnie i bezpiecznie.

Moją drobną sprawę załatwiał poważny urzędnik, którego doprawdy szkoda było na jakieś tam wypełnianie formularza. On jednak wcale się nie skarżył. Ze znużeniem, ale bez pośpiechu, zabrał się do rzeczy. Złożył papier na pół, przyglądał kant trzonkiem wyleniałej szczoteczki do zębów i mistrzowskim ruchem przedarł go równiutko. Potem zaczął wywijać piórem dziwne zakrętaszy, jakby bronił się magicznymi zaklęciami przed całym obcym i groźnym światem zewnętrznym. Podpisany formularz podał mi, jak talizman.

Właściciel cukierni nie był urzędnikiem i bolał nad tym bardzo. Jego brat stryjeczny i brat jego żony byli urzędnikami. Mieli swoje miejsce przy biurkach, wyszywaną poduszkę na krześle, cukier w szufladzie i równo zastrugane ołówki.

W ~~swoim biurze~~ żyli spokojnie, jak w arce

podczas potopu. Nie groziła im konieczność ryzyka i inicjatywy, a ponadto mieli tytuły i ludzki szacunek.

— Czy ja kiedy myślałem, że będę kupcem! — westchnął cukiernik, wypisując mi starannie rachunek.

Później, kiedy poznałem lepiej te strony, przekonałem się, że miasta tutejsze są nieoczekiwanymi, niezrozumiałymi wyspami. Dokoła nich burzy się i grozi zalewem morze niespokojnych wsi, a one drzemią, zwinęte w kłębek.

Jest to tym dziwniejsze, że miasta te są dziećmi wsi. Nie mieszczaństwo je zapełnia, ani nie zubożali ziemianie, lecz synowie chłopscy — urzędnicy.

Urząd był i jest szczytowym pragnieniem rodziny chłopskiej. Nawet nie sutanna, jak na Śląsku; nie łokieć i waga, jak w Poznańskim; nie folwark, jak w Królestwie. Snobizm tutejszy jest urzędniczy i naukowy, ulubione tytuły: doktor i radca.

I nie jest to wcale dziwaczne ani śmieszne. Urząd daje synowi chłopu najoczywistszą i najkorzystniejszą nobilitację. Wprowadza go do nowej klasy społecznej i stawia obok inteligenta — „pana“.

Droga do tego awansu bywa nieraz ciężka, ale dostępna i wyraźna: „Disce puer latine!“ Tak było i tak jest do dziś, choć zmieniły się warunki. W urzędach jest ciasno, po wsiach bląkają się bezradni młodzieńcy — maturzyści, ale co roku płynie nowa fala do szkół.

W czerwcu widzę ich przed gimnazjum, tych osmyczonych do skóry chłopaczków w przydużych buciarach i z rulonem papieru w spoconej ręce. Matki poprawiają co chwila chustki na głowach i szturchają synów, żeby się przecie kłaniali jak najęśniej panom profesorom.

Kiwają się potem te osmyczone łepetyny nad łaciną i gryzą z uporem grekę.

Dają z siebie dużo. Żyją przecie na sa-

mych prawie ziemniakach, do szkoły brną w błocie po osiem i dziesięć kilometrów. Nawet w suchych aktach szkolnych zastają ślad ich pracy: wysuwają się na pierwsze miejsca. Mam w ręku listę „prymusów“ z jednego tylko roku, w jednym tylko gimnazjum. Nazwiska te pachną rolą i razowym chlebem: Jopek, Czyż, Czarnek, Dłużeń, Malec, Rybka, Szela, Potyra, Kocór, Niedziocha, Nyzio, Bałda, Mazur, Żuława, Stanio, Stachura. Nazwisk niby szlacheckich, na „ski“, jest zaledwie parę.

Wieś daje swój najlepszy materiał, ale traci go bezpowrotnie. Na wieś wracają tylko outsiders, pechowcy, wykolejeńcy, bezrobotni. Reszta wsiąka w miasto. W zasadzie dzieje się rzecz dobra. Bez rewolucji i wstrząsów warstwa rządząca nasiąka żywiołami z dołu. W naszych oczach odbywa się tak wielka przemiana, jak gdyby zmieniano samurajowsko-szlachecką Japonię na

uczone i urzędnicze Chiny. Kraj, gdzie gałka uczonego na kapeluszu jest indygenatem.

Ale nie odbywa się to bez szkód. Droga do wyższych warstw jest podobna do służby. Gdy łódź wpłynie do następnej komory, drzwi się za nią zamykają i woda wycieka. Nie ma drogi powrotu, nie ma łączności.

I jeszcze jedno. Ten świeży, młody społecznie, żywioł wiednie zbyt szybko na bruku. Traci rozpęd i zuchwałość. Przyucza się do chodzenia w kółko po jednym chodniku, skwapliwego kłaniania się zwierzchnikom i składania drobnych oszczędności w Kasie Komunalnej.

Zaczyna się czasem podejrzewać, że w kulturze starych warstw są jakieś bakterie gnilne.

Z wielkiego gmachu narożnego, gdzie mieści się kilka urzędów, wyszedłem szybko na powietrze. Nie chciałem jednak iść główną ulicą, z restauracją „Ziemiańską“, cukiernią „Tatrzańską“ i sklepem „À la ville de Pa-

ris“. Skręcałem w coraz nowe bocznicę, wystające jak groble ponad zapadłymi placami lub wchodziłem w złośliwie cuchnące zaułki, gdzie wystawały rozpaczliwe oficyny, żelazne ganki i drewniane komórki. Wreszcie — prawie wypadkiem — trafiłem na grupę drzew. Były to brzozy otaczające zamek Lubomirskich, broniony przez cztery niegroźne rokokowe baszteczyki.

Z tego jedynie miejsca widziało się nieco szerszy krajobraz. Rozpoczynał się on niskim rudym pasem łąk nad Wisłokiem i wznosił ciemniejącą gamą aż do granatowej linii horyzontu na wschodzie. Tym wyłomem dolał tywał nieśmiało — Wiatr od Ziemi...

Wracałem stamtąd okreśną drogą, ponad rzeką, gdzie dawniej można było podobno przejechać łodzią aż do klasztoru Bernardynów. Dziś między zamkiem a klasztorem są wszędzie ulice, smutne ulice biedy i brudu. A sam klasztor obsiadł i zapadł się w bagnistym gruncie.

Jednakże tam właśnie, we wnętrzu klasztornego kościoła napotkałem cień dumniejszej przeszłości.

Przed ołtarzem klęczał zakonny braciszek w grubym habicie, a kiedy podniosłem oczy wyżej, zobaczyłem kamiennego rycerza w tej samej prawie postawie. Był to — jak głosił łaciński napis — Mikołaj Spytek Ligęza, herbu Półkozic, kasztelan sandomierski, starosta ropczycki i biecki, syn kasztelana Wiślickiego, dziedzic Głowowa, Sędziszowa i Rzeszowa.

— Dobroczyńca klasztoru i całego miasta — powiedział mi głośnym szeptem Bernardyn, pokazując brodą rycerza.

Istotnie Pan Sandomierski — jak się dowiedziałem — był jedynym może z dziedziców Rzeszowa, który chciał i umiał dźwignąć miasto.

Po wielkim pożarze 1599 roku. nadał Rzeszowowi najszersze chyba wolności, jak na miasto prywatne. Z tej okazji dał pan Miko-

łaj folgę swoim skłonnościom literackim, pisząc w „przywileju“:

„Widząc wasze utrapienie y nieszczęsny opłakany żal, którym poddanych swoich miłych Pan Bóg, za wystempki iakieś y tajemne sądy swe pokarać raczył, nie łzami samymi, jedno serdecznym żalem będąc zdięty, do ostatniey koszule z kaźdey miary przy was stać, ani was, dziełek swoich miłych opuszczać, ale pod skrzydłami swymi zachowywać (obiecuję)“...

I dalej, w kaznodziejskim prawie tonie:

„Naprzód tedy proszę, abyście się nie frasowali, a rozumieycie, że to od Pana Boga szczęście y nieszczęście, ubóstwo y bogactwo pochodzi“...

Wreszcie „chcąc miłość przeciwko Poddanym swym pokazać“, owe „prawa i wolności doczesne y wieczne“ ogłasza.

Ale nie tylko piórem władał zgrabnie pan Mikołaj. Jak mnie objaśnił (nie bez nagłego rozbłysku w oczach) brunatny braciszek,



Szkoła Rzemiosł. Praca w kuźni.

Fot. E. Janusz.



NICOLAUS SPYTEK LIGEZA
DE BOBREK IN RZESZOW GEO-
WOW SEDZISOW GORZIC
HABES CASTELL SENDOMIR-
EN BIECENSIS ROPCZEN-
SIS CAPITANEVS CASTEL-
LANI WISLICI FILIUS

Nicolaus Spytek Ligeza.

Fot. L. Pillar.

pan na Rzeszowie zwyciężył w pięcioletniej wojnie — Diabła.

Nie zrozumiałem w pierwszej chwili. Nagle jednak przypomniałem sobie najbliższe sąsiedztwo: Łańcut. Ach, więc wojna z panem Stadnickim? Tak. I to o jarmark. To znaczy o ważny przywilej miasta, zgwałcony przez Diabła łańcuckiego. Z podwójnym uznaniem patrzę na pokornie złożone ręce sandomierskiego kasztelana.

Od klasztoru Bernardynów ciągnie się ku zachodowi ulica, a potem szosa Krakowska. Za miastem wspina się ona na wzgórze, które nazywają tu Baranówką. Stamtąd zobaczyłem cały Rzeszów dzisiejszy. Od śródmieścia rozpełzały się szeroko uliczki i osobne plamki domów, ustawionych do siebie bokiem, tyłami, na ukos, byle jak. Wzdłuż szos biegły nierównym dwurzędem, bliżej zaś środka miasta gmatwały się już zupełnie bez planu i potrzeby.

Szosa krakowsko-lwowska grzęźnie w

mieście beznadziejnie, płacze się w konwulsyjnych skrętach i gubi w gąszczu ulic, zaś koło dzwonnicy farnej zawiązuje się w niebezpieczny, sękaty węzeł i wreszcie ucieka między pola, podpierając się słupami telegrafu. Nie łatwo przyjdzie miastu rozplątać te węzły, zanim postawi krok w przyszłość.

Z miejsca, na którym stałem, widać było wyraźnie niekształtne, amebie wyrostki miasta. Wysuwają się one po linii najmniejszego oporu, po niższych, mokrych miejscach. Ani jeden nie spróbował wspiąć się tutaj, na Baranówkę, gdzie — przymknąwszy tylko oczy — można ujrzeć tarasy całej nowej, słonecznej dzielnicy. Z niezrozumiałym uporem przepycha się miasto na wschód i grzęźnie w bagnistych łąkach.

*

*

*

Życie w małym mieście niczym nie przypomina dramatu. Nie ma postępującej naprzód akcji, konfliktu i punktu kulminacyj-

nego, nie ma w ogóle fabuły. Przypomina ono raczej powieści typu „roman-fleuve“, które można ciągnąć bez przerwy, tom za tomem, i można w każdym miejscu przerwać. Dlatego jedni się przestraszyli, inni tylko zdziwili, gdy z Rzeszowem zaczęło się coś — dziać.

Pewnego dnia na ulicach zjawily się nasypy, rowy i okopy, jakby Spytek Ligenza znowu „miasto ku tem lepszej obronie spობiając, murem i wałami przystoynie obwiódł“.

Okopy te nie były jednak znakiem przeszłości, lecz przyszłości. Może zapowiedzią drugiego okresu tak świetnego, jak za Pana Mikołaja.

Tak przynajmniej twierdzą dzisiejsi gospodarze miasta. Opowiedziano mi, co ma w Rzeszowie powstać i jak będzie miasto wyglądać za parę lat. Z rozmów tych wytworzyłem sobie obraz całkiem nowego miasta. Coś pośredniego między Łodzią a Kato-

wicami. Nie mogłem jednak w żaden sposób znaleźć w tym obrazie miejsca dla dzisiejszego Rzeszowa. Czy nie trzeba go będzie zburzyć do dna, aby można było stworzyć na jego miejscu coś tak bardzo odmiennego?

Jak się zmieszczą wśród domków emerytów trzy wielkie fabryki metalurgiczne, drugi dworzec, większy podobno od starego, bloki domów robotniczych, wielkie składy i lotniska? Jak wykroi się z krętych uliczek — autostrady dla ruchu motorowego? Ławnik miasta (zresztą geograf z wykształcenia), którego obarczam tymi pytaniami, nie ma żadnych wątpliwości: zna się przecież z mapami poufale. Na planie miasta przerąbuje czerwonym ołówkiem ulicę, omijającą prowincjonalne grymasy uliczek. Krwawa linia ołówka idzie przez żydowski cmentarz, grunty bernardyńskie i wojskowe baraki, przecinając po drodze dwie kamienice.

— A więc nawet niewielkim kosztem — kończy spokojnie mój rozmówca.

Widzę, że opętał go już demon przemysłu i postępu, najniecierpliwszy ze wszystkich demonów. Plan miasta w rękach tego człowieka skręca się i trzeszczy. Tu wyciął olbrzymią połąć na wielkie hale fabryczne, tam postawił potworny sześcian mieszkalny, tędy przeprowadził nowe ulice i usiał je białymi plamkami willi... Utknął dopiero przy fabryce, która położyła swoje żelbetonowe veto na drodze do niedawno założonego parku.

— To także jakoś się rozwiąże — mruknął bez przekonania.

Może. Ale obawiam się, bardzo się obawiam o los drzew w Rzeszowie. Nigdy ich nie przyjmowano gościnnie w tym mieście. Dawniej szkodził im zaduch papierów i wiedeńska arogancja kamienic, teraz grożą im matematyczne bryły przemysłu. Na przeciw moich okien odbył się niedawno po-



grom kwitnącego ogrodu. Drzewa uśmiechnięte różowo i biało wykopywano z korzeniami, spod zieleni wydobyto cmentarną, żółtą glinę i zalano dół cementem. Słychać tam teraz zgrzyt bloków i jęczący okrzyk nowej wiary: „hej — rrrup!“

Wiem, rozumiem, uznaję: Rzeszów spotkał nieoczekiwany, korzystny awans. Miasto rośnie, przekształca się, cywilizuje. Ale nikt mnie nie przekona, żeby wyrywanie kwitnących drzew nie było grzechem. Za lat kilkanaście czy kilkadziesiąt będziemy — żałośni i śmieszni pokutnicy — burzyć w śródmieściu domy, żeby zakładać biedne dziecinne ogródki, jak się już dzieje w New-Yorku.

— A cóż z tymi okopami? — przypominam sobie... Objaśniają mnie, że to pierwszy krok Rzeszowa w przemysłową przyszłość: wodociąg.

Cieszą się nim i są z niego dumni. Chcą w nim widzieć prawie symbol. Ale człowiek

stojący z boku spostrzega dziwne sprawy dziejące się dokoła tego symbolu. Okopy zjawiają się i znikają, potem znowu zjawiają się w tym samym miejscu. Jezdnia, operowana raz po raz, robi się spierzchła i dzobata, odstaje wielkimi pęcherzami i zapada się pod nogą. Jakiś złośliwiec przysięga mi, że na jednej z ulic utopiło się ciele. Inna legenda mówi nawet o koniu.

Wpadają mi w ręce broszury, szereg broszur polemicznych, wydanych z racji tego właśnie wodociągu. Nie znam się na tym, ale mam żal do techników. Zwykle takie techniczne sprawy dzieją się sprawnie i niewidocznie. Za kulisami. Dyskretni maszyniści łączą jakieś skomplikowane druciki, przedstawiają dźwignie i naraz na scenie robi się widno, ciepło i wygodnie. W Rzeszowie pokazano kulisy i zepsuto cały efekt.

Bardzo poci się Rzeszów przy egzaminie i nieraz może wyrzekłby się awansu.

Sprawa jednak zaszła za daleko. Padła

nazwa Centralnego Okręgu Przemysłowego i padł komplement „Śródlądowej Gdyni“. Trzeba teraz dociągnąć rzeczywistość do tych nakazów.

Rzeszowianie nie chcą jeszcze temu wierzyć. Jeszcze się uśmiechają drwiąco, jeszcze narzekają na zamieszanie w spokojnym dotąd mieście. Ale już ich porywa rozpęd tego, co się staje w ich oczach. Na miejscu małej fabryki kuchni polowych rosną olbrzymie hale, w których mądre maszyny fryzują i ondulują żelazne bloki. Emulsja oleju wiertniczego, koloru śmietanki, oblewa równo operowany metal i precyzyjne dłuto. Praca idzie w niewykończonych i dopiero co wykończonych pawilonach. Młodzi ludzie o skupionych oczach kreślą i rysują jednocześnie na kilkunastu stalugach, niczym szkoła malarska. To fabryka Cegielskiego.

A w drugim końcu miasta rosną betonowe bloki, wydłuża się odnoga toru przemysł-

wego i roją furmanki wywożące ziemię. Uderza oko nietutejszy typ zaprzęgu wielu z nich. To „a r t i e l“ Poleszuków, specjalistów podobno od robót ziemnych, a potomków Holendrów, sprowadzonych przez Ogińskiego do budowy jego kanału. Takie to dalekie echa odzywiają się, skoro tylko ruszyliśmy z miejsca leniwą bryłę naszej gospodarki.

W Rzeszowie rozwija się wielki ruch)

Przed maleńkim magistratem, kusym jak kurtka wyrosłego chłopaka, stoją czarne limuzyny z chorągiewkami na chłodnicy. Szoferzy patrzą przed siebie niewidzącym wzrokiem i bębnią palcami po kierownicy. Umieją oni wprowadzić pędzić w najdalszą przestrzeń, ale nie w czas. Myślą, że miną to miasto, jak tyle innych miast i nie zostanie za nimi nic, prócz kurzu.

Zmieniliby może zdanie, gdyby mieli chwilę czasu i porozmawiali z majstrami poznańskimi, którzy spajają wysoko nad

ziemią ryzykowne, fantastyczne łuki żelazne. Ci wierzą w stworzycielską siłę słów, liter i cyfr. Patrzą w kawałek papieru i mówią: „to będzie“.

Czerwony kurz, który otacza ich czarodziejstwo, nie opada bez śladu, jak pył drogi za samochodem.

NERWY I TĘTNICE

Łatwo popełnić błąd, sądząc pewną krai-
nę po jej głównym mieście. Łuck to nie Wo-
łyń, Warszawa — nie Mazowsze, Brześć —
nie Polesie. Żeby odnaleźć duszę kraju, trze-
ba pokornie pielgrzymować po drogach i
bezdrożach.

Pierwsze zapoznanie odbywa się przez bi-
let wizytowy terenu: mapę.

Od pierwszych oznak wiosny, leżą całe
ich stosy na stołach, tapczanach, a nawet
na podłodze. Podróż, którą się tutaj odby-
wa, nie jest wcale mniej ciekawa od praw-
dziwej. Kto czuje mapę, może w niej doj-
rzeć wszystkie uroki krajobrazowe, a przy
tym — wszystko tu jest — blisko i łatwo.
Jednym ruchem palca przenosimy się z Rze-

szowa do Kolbuszowej, dawnego ośrodka najpiękniejszych mebli polskich. Potem, przez Ćmolas i Majdan, wjeżdżamy jak z samych nazw to widać, w puszcę Sandomierską. Z nazw wyczytać można wiele. Im bardziej wgryzamy się w mapę, tym więcej w nich widzimy. Z nazw uczymy się odgadywać twarz nieznanej jeszcze wsi, czy przysiółka. A na odwiecznym nieraz brzmieniu możemy studiować nieomylny instynkt polskiej mowy.

Najprzód oko błądzi jeszcze po mapie leńwie i wylawia tylko dziwolągi. Skąd na przykład wzięło się takie cudactwo, jak Wola Gołego? Jaka może być wola gołego i kto tak nazwał Bogu ducha winną wieś?

Trudno też zrozumieć, od czego mogą pochodzić takie nazwy, jak: Kacaki, Knapy, Durdy, Pludy, albo nazwa podwójna: Hyki i Dębiaki. Dziwnie brzmi zwięzła, jakby z samego źródłosłowu złożona, nazwa Sple, mocno podejrzana jest Zyc, a zupełnie nie-

jasne trzy Pogwizdowy i kilkakrotnie powtarzający się Cierpisz.

Przechodzi się potem do nazw, których sens i pochodzenie można już odgadnąć. Jasne więc, że koło starego grodu Sandomierskiego, będą: Szczytniki, Sokolniki, Skotniki, Szewce, Winiary i inne wsie służebne. Ze starym podziałem na dzielnice i opola łączy się widocznie nazwa Żupawa.

Wreszcie sypią się nazwy puszczańskie, świadczące, że w trójkącie Wisły i Sanu był tęgi bór. Jest więc Białybór, Ćmolas, Laski, Zalesie, Cisówka, Brzostowa Góra, Brzeźnica i Bukowiec. O ludzie wypalającym smołę w puszczy świadczą: Smolarzyny, Majdan, Kopcie i Maziarnia. Przychodzi potem okres wgryzania się człowieka w puszcę i znaczenia swojego pochodzenia nazwami: Poręby, Ciosy, Trzeboś lub Trzebowisko. Są też dowody obfitości zwierzyny w puszczy: Łowisko, Wilkowyja, Wydrza, Jaźwiny, Jeżowe, Dziukowiec, Lisia Góra i Niedźwiedzia Wólka.

O pasiecznictwie mówią Barcie. O niebezpiecznych mokradłach w puszczy — Nisko, Pławo, Jamnica, Ostrowy, Mokra, Groble, Trzęsówka i Trzęśń, a także ostrzegawcze: Błędowa, Brnik i kilkakrotne Zabrnice. Zastanawiają wreszcie Huciska i Rudy, które trafiają się dość licznie. Czy nie są to ślady zaniedbanych bogactw?

Skrupulatniej już i bardziej rzeczowo bada się drogi. Mapa Automobilklubu optymistycznie dzieli drogi na dobre, średnie i złe. W praktyce okazały się wszystkie złe lub co najmniej, jak dawny tytoń rosyjski: „niższe średnie“. Godzimy się jednak i na to: turystyczny Harley wszystko wytrzyma, jeśli się tylko nie żąda od niego, aby pływał i skakał. Gorzej jest z trasą. Kto chce zbadać całą rozpiętość blagi i frazesu w Polsce, niech porówna publiczne deklamacje z siecią dróg. Tu się nie da nic zagadać ani upiększyć. Mapa naszych dróg wygląda, jak ślady nóg pijanego chrapąszcza. Czerwone i czarne linie



P. Nalborczyk, instruktor szybownictwa w Rzeszowie.



Budująca się szkoła wiejska.

rozłazą się bezmyślnie lub zbliżają do siebie na parę kilometrów, aby nagle uciec w popłochu i wyciąć niezrozumiałego zakrętasa.

Zwłaszcza na granicy dawnych zaborów dzieją się horrenda. Co tu gadać o zjednoczeniu, zgojonych bliznach i żywym ciele, kiedy między tak zwaną Galicją i tak zwanym Królestwem urywa się szosa na dwadzieścia parę kilometrów. I to nie w jednym miejscu: między Rozwadowem a Kraśnikiem, Niskiem a Janowem i Biłgorajem a Tarnogórą czy Sieniawą.

Wybieramy drogę Tarnobrzeg - Puławy, wzdłuż Wisły. Trasa, która mogłaby się stać reprezentacyjną atrakcją turystyczną. Trasa, obejmująca Sandomierz, Zawichost, Kazimierz nad Wisłą i piękne widoki z wysokiego wiślanego brzegu. Za ten pomysł jesteśmy surowo ukarani, bo i tu brak dwudziestu czterech kilometrów szosy.

Mapa głosi w tym miejscu: „gościniec możliwy do przejechania, zależnie od stanu po-

gody“. Decydujemy się jeszcze, w myśl dewizy wiszenia za obie nogi, na drugi podobny odcinek: od Opatowa do ruin zamku Krzyżtopór i trzeci — od Tarnogrodu do Sieniawy.

W pewnych punktach mapa wywołuje w nas niedowierzenie. Podejrzewamy pomyłkę. Bo chyba niemożliwe jest, żeby szosa wyczyniała takie dziwy: od Tarnobrzega do Sandomierza biegnie równolegle po obu brzegach Wisły, potem przerzuca się tylko na lewy brzeg i zbliża—pod Zawichostem—tuż do rzeki, aby potem zrobić wielki łuk do Ożarowa i wrócić dopiero pod Annopol. Z drugiej strony Wisły gościniec podchodzi do Janiszowa, staje naprzeciw Zawichostu i także zawraca w nagłej wolcie.

Nie można się uwolnić od przykrego uczucia nonsensu.

Na szczęście początek drogi jest jeszcze znośny. Z Rzeszowa jedziemy do Kolbuszowej na Głowów, niesłusznie zwany Głogo-

wem, fundacji Krzysztofa Głowy z Nowosielec, herbu Jelita, sekretarza Zygmunta Augusta w roku 1570.

Równolegle do szosy ciągnie się prawidłowy nasyp, na którym co kilka kilometrów butwieją resztki jakichś domeczków. Widać też mostki i przepusty wody. Zaczyna to nas intrygować. Niedaleko wsi Cierpisz zaczepiamy chłopą prowadzącego krowę. Dobrze trafiliśmy: jest to człowiek bywały i obeznany ze sprawami publicznymi. Krowa chętnie przegryza marsz trawą z rowu, a my zapalamy papierosy.

A więc jest tak, jak przypuszczaliśmy: ten nasyp to linia kolejowa. Linia, która już ma swoją historię. Budowę jej uchwalił sejm już w 1919 roku. W roku 1920 Ministerstwo Kolei wykupiło grunty, a w 1921 roku wykonano już większą część robót. Natraz w 1922 roku Ministerstwo rozwiązało umowy, zapłaciło odszkodowania i zostawiło niezabezpieczone budynki i przejazdy.

Od tej pory zaczyna się epopeja walki społeczeństwa z biurokracją. O kontynuowanie robót starają się posłowie ludowi i miejscy, wszelkiego rodzaju instytucje wysyłają memoriały, wywodzą czarno na białym, że strata w niszczeniu obiektów, w kapitale martwym i spadku produkcji rolnej, wynosi 400.000 złotych rocznie. Napróžno.

Gospodarz mówi o tym spokojnie, niemal epicko. Przesuwa kolejno zdarzenia, jak starodawny kronikarz i nie komentuje ich. Wydaje mi się jednak, że podłożem tej beznamietności jest głęboka nieufność wsi do wszelkich „panów“.

A ja znowu niepotrzebnie przyznaję się do solidarności z tymi jakimiś panami z Ministerstwa Kolei i bąkam niepewnie, że wydać kredyty... kryzys... kalkulacja...

Mądry gospodarz udaje niedbale powagę i szacunek. Kiwa z uznaniem głową i nie słuchając wcale, powtarza:

— No, ma się wiedzieć! Słuszna racja!

I naraz, podnosząc się z murawy, wskazuje na niszczący tor: „Piętnaście lat już tak stoi“ — mówi.

Pożegnaliśmy się niezręcznie, kłopotliwie, czując wyrzuty sumienia, że nie wypowiedzieliśmy się do końca. A na pierwszym zaraz postoju w lesie za Majdanem rozłożyłem mapę na trawie i przyjrzałem się liniom kolejowym. W trójkącie rzek, do którego wierzchołka zbliżaliśmy się obecnie, nie było ani jednej linii środkowej, przecinającej tę przestrzeń. Tor kolejowy widać było tylko przy krawędziach trójkąta, wzdłuż rzek: z Dębicy przez Mielec do Sandomierza i z Przeworska do Rozwadowa. Wielki trójkąt, mający około 80 klm. podstawy i około 100 klm. wysokości, był zupełnie pozbawiony kolei. Kraj pomiędzy gęsto zaludnioną Małopolską środkową, przemysłową Kielecczyną i bogatą w dobre grunta Lubelszczyną!

*

*

*

„Świat deskami zabity“ spotyka się często w podróży po Polsce. Wpada się do niego z pióropuszem kurzu nad głową, wjeżdża na krzywy rynek i zatrzymuje bezradnie: nie widać stąd drogi wyjścia.

Domy dokoła rynku przykucnęły i podały sobie płoty, żeby zagrozić drogę, a podłoga rynku przybita jest mocno do ziemi łbami kamiennych gwoździ. Nawet wiatry, które wypadkiem wpadną na rynek, kręcą się bezmyślnie w kółko, opadają na kupkę śmieci i zostają tu na zawsze.

Jest coś w atmosferze tych rynków, co mi przypomina ulubionego „konika“ mojego nauczyciela historii: tzw. „zgniłe miasteczka“. Opowiadał nam o nich z zamyśleniem co drugą lekcję. Chodziło o wybrzeże Anglii, jeśli się nie mylę. Były tam miasteczka, które z czasem pochłonęło morze, ale które nie straciły prawa wyboru swoich reprezentantów. Wyjeżdżało więc kilku ludzi w ło-

dzi na miejsce, gdzie było ongiś miasteczko, i głosowało w jego imieniu.

Nad miasteczkiem, do którego właśnie wjeżdżamy (o nazwę mniejsza), też musiały się zamknąć jakieś fale. Wygląda na zalane od dawna gorzką, nieruchomą wodą. A jeżeli nawet wysyłało kiedy posłów czy innych przedstawicieli, to robiło się to na pewno gdzieś w górze ponad nim, w imieniu jego milczącej, przypuszczalnej woli.

Rynek jest pusty, ale w sekundę po zatrzymaniu motoru stoi już dokoła nas gęsty tłum widzów. Patrzą osłupiałym spojrzeniem na każdy nasz ruch, jak murzyni na golącego się europejczyka. Dopiero jakieś praktyczne pytanie zdejmuje z nich czar. Zaczynają wierzyć, że jesteśmy zwykłymi ludźmi.

Benzyna? Owszem jest. Ale jest sobota i Ajzyk poszedł z kluczami na spacer. Czy wróci? Może wróci, ale kiedy — nie wiadomo. Restauracja także jest. Jedni mówią, że

najlepiej pójść do Kolasińskiego, inni że do Benrata. Zwolennicy Kolasińskiego godzą się jednak po chwili, że Kolasiński to nie dla nas: u Benrata jadali nawet panowie oficerowie, jak się bawili w udawaną wojnę.

Idziemy do Benrata. Przyjmuje nas surowy kelner — pan Leon, nudzący się wśród pustych półek. Jest takim samym zabytkiem „dobrych czasów“, jak wiaderko do szampa na i niklowany samowar na szafie. Zaczynamy z nim rozmowę, za co z początku pogardza nami, ale wreszcie znajduje jakiś poziom demokratyczny, na którym może prowadzić z nami gawędę. Jeżeli chcieliśmy poznać życie miasteczka, to nie mogliśmy lepiej trafić! Pan Leon reprezentuje je w całej pełni, bo główną cechą miasteczka jest nuda, a nikt nie nudzi się tu bardziej, niż pan Leon.

Trzy lata temu były tu manewry — przypomina sobie leniwie. — A raz, zdaje się rok

temu, przejeżdżał wojewoda. Nic więcej się nie działo ciekawego...

Zasypujemy go pytaniami, jakby i nam groziło rozplynięcie się w tej pustce. Czy są jakie organizacje, na przykład Towarzystwo Krajoznawcze? Przecież są tu ciekawe zabytki w mieście i okolicy: kolegiata, ruiny zamku... Czy uprawia się jakie sporty? A może jest towarzystwo śpiewacze lub muzyczne? Czytelnia? Teatr amatorski lub Kino?

— Niczego takiego tu nie ma — mówi pan Leon z niechęcią. Wygląda nie jak męczennik, ale jak bohater nudy. Uważałby sobie za ujmę, gdyby chciał się ratować przed niebezpieczeństwem niegodnymi półśrodkami.

Po chwilowym namyśle stara się jednak wnikać w nasze zainteresowania i przypomina sobie wszystko, co ma związek z kulturą w mieście. Mówi pozornie bez związku, ale my się już rozumiemy.

Mówi, że o piątej po południu przychodzi

tu trzech panów z magistratu na bilard. Czytają też „Express“ i „Kino“. Do pana burmistrza przychodzi „Gazeta Polska“. Na poczcie jest urzędnik, który gra na okarynie i na skrzypcach. Na okarynie lepiej, ale tylko dwie melodie: „Po rannej rosie płyn dźwięczny głosie“ i „Hej, po łące, po zielonej“. Gra przeważnie wieczorem. Nawet — nie można powiedzieć!... W grudniu ochotnicza straż pożarna wystawia zwykle „Jasienkę“ razem z dziećmi ze szkoły. Spłacają sikawkę. Bo był tu jeden fotograf...

I naraz pan Leon się ożywia. Z gorzkim tryumfem opowiada o fotografii Kozubskim. Kozubski się nazywał. Wacław Kozubski — wbija nam nie wiadomo dlaczego w pamięć. Otóż ten Kozubski przyjechał strasznie mądry i ważny. Chciał uczyć ludzi, kręcił się, robił szum. Założył swoją „ateljé“ na rynku i myślał, że zrobi kokosy. Tymczasem kto tu się miał fotografować? Chyba żydki. A żydki miały swojego foto-

grafa. Przy tym Kozubski ustawiał ludzi przy jakichś drewnianych paczkach i kółkach, a fotografie robił na zielono. Fotografował też kolegiatę i wypuścił widokówki. Jednym słowem — co tu gadać — zarządził się. Uciekł w nocy, na piechotę, z aparatem na grzbiecie.

— A cóż z tą sikawką? — pytamy.

— Ano właśnie z tą sikawką — nawraca zgodnie pan Leon. — Więc ten Kozubski namówił ludzi na wielką żelazną sikawkę i do tej pory ją straż splota. A trzeba do niej czterech koni, bo inaczej nie ruszy z miejsca.

Pan Leon tryumfuje, ale nie ma racji.

Cześć ci, nieznany panie Kozubski, z twoją za ciężką sikawką i zielonymi fotografiami. Szkoda, że musiałeś stąd uciekać, w nocy, z aparatem na grzbiecie. Szkoda, bo nie prędko dotrze ktoś na miejsce opróżnione przez ciebie do „świata zabitego deskami“...

Po długim milczeniu pytamy pana Leona

o drogi. Nie wie dobrze, bo nie wyjeżdżał od dawna z miasteczka, ale zdaje mu się, że są złe. Gdyby chodził autobus, można by się lepiej dowiedzieć, ale już nie chodzi od dawna. Rozklekotał się. To zresztą także wystarczy za informację.

Oglądamy starą kolegiatę i jedziemy do najpiękniejszych podobno w Polsce ruin: do zamku Krzyżtopór. To, po czym jedziemy, ma być szosą, ale przypomina pole bitwy po bombardowaniu. Jedziemy na drugim biegu i jeszcze trudno wytrzymać.

Do zamku jedzie się dziwnie: przez teren prywatny dworu, potem z góry na łeb do lasu, potem przez rzeczkę (w bród!), potem przez gumno drugiego dworu i prawie prostopadle do góry. Harley zdał egzamin: jesteśmy na górze, ale podnosi się w nas głucho złość przeciw wszelkim „czynnikom miodajnym“.

Drogi, które są nerwami i tętnicami kraju, nie odżywiają u nas należycie wszystkich

komórek organizmu. Kto wie, jakie wartości ludzkie butwieją w odciętych od wszystkiego osiedlach polskich.

Musimy się zdobyć na wykorzystanie ich i przyciągnięcie do życia.

Do ludzi, którzy grają na okarynie jedną piosenkę i czytają o piątej po południu „Express“, muszą przyjechać koncerty i opery. Wacław Kozubski musi wystawić swoje zielone fotografie w stolicy. Straż pożarna musi zabrać dzieci z „Jasełek“ w góry i nad morze. A do średniowiecznej kolegiaty muszą zjeżdżać codziennie samochody z wojewodą na przedzie.

Tymczasem my jedni korzystamy ze stanowiska pionierów motoryzacji. Mimo wczesną godzinę wyjazdu mamy poważną ilość publiczności. Chłopcy przykucają nabożnie przy motocyklu i szeptem objaśniają sobie jego działanie. Za chwilę wymykam się rynkowi i rozpoczynamy zwykłą pracę na szosie. Plany robione na mapie kurczą się co-

raz bardziej wobec wyglądu dróg. Skróciwszy trasę, jedziemy przez Kazimierz, Puławę, Lublin, Zamość, Sieniawę. Wypoczywamy potem przez miesiąc.

Na drugi raz — obiecujemy sobie — pojedziemy kajakiem. Na wodzie nie ma kurzu, nie ma wybojów. Tak, stanowczo pojedziemy kajakiem. Na wszelki wypadek zasięgam języka w Urzędzie Dróg Wodnych. „O, kajakiem przyjedzie się wszędzie“ — mówi mi z lekkim uśmiechem Kierownik Urzędu. — A jak jest z żegluga, z regulacją?

— Tymczasem robi się dla Wisły i Sanu bardzo mało. Prawie nic. Owszem umacnia się trochę brzegi, wyznacza nurt, mierzy się poziom wody... Normalna praca porządkowa. Ale są tam takie pułapki, jak np. jeden „korek“ na Sanie, hamujący żeglugę, na przeciw dawnego brzegu rosyjskiego.

Zapytuję o zapory wodne. Obiło mi się o uszy, że i San nadawałby się do wykorzystania w kierunku elektryfikacji jak Soła

i Dunajec. Kierownik uśmiecha się pobłaźliwie: „Pewnie, pewnie. San ma charakter rzeki górskiej“.

Dowiaduję się, że siłę wodną w Polsce obliczają na 3,7 miliona koni mechanicznych, z czego wykorzystane jest zaledwie ...0,1 miliona. Oczywiście więc, że można by wykorzystać i San. Nie tylko San. Koło Unizowa na Dniestrze jest pętla licząca 27 kilometrów, a do przekopania jest tylko kilometr. Idealny punkt.

Patrzę na mapę dróg wodnych. Odcinki żeglowne rzek namalowane są nieprawdopodobnie grubą kreską. Imponują, zatrzymują wzrok. Szkoda tylko, że jest ich tak niewiele.

Naraz dostrzegam linię kropkowaną, kształtu odwróconego „T“. Kierownik zapala się trochę. Ba! to jest projektowany kanał. Projektowany od wielu lat. Gdyby go zrealizowano, byłaby to praca na poziomie Gdyni i melioracji Polesia. Według pro-

jektu Wisłę przedłużonoby niejako wprost ku południu, tak że zbieg i Wisły i Sanu wypadłby koło Rzeszowa. Prostopadłe ramię kanału przecięłoby cały „trójkąt bezpieczeństwa“, a poziome szłoby wzdłuż linii kolejowej Lwów-Kraków. Człowiek stworzyłby tu ciekawą poprawkę geograficzną i ożywił całą tę krainę. Ale... kiedy to się stanie? Pan Kierownik rozkłada bezradnie ręce.

Z błękitnymi gościńcami nie jest więc o wiele lepiej.

*

*

*

Sporo wody upłynęło w Sanie i Wiśle, nim znaleźliśmy się znowu na północy cichego powiatu kolbuszowskiego. Jedziemy samochodem, który nie jest tak sejsmograficznie czuły na wyboje. Ale też mniej się widzi i czuje. Trzeba dopiero jakiegoś niespodziewanego widoku, żeby...

— Zatrzymać maszynę — wołam nagle.

Co mogą robić ci ludzie? Wygląda to na



„Matka Boska na Gruszce” cudowny posąg z kościoła O. O. Bernardynów
w Rzeszowie.

Fot. E. Janusz.



„Kapliczka przydrożna“.

Fot. J. O.

obóz cygański, ale Cyganie nie potrafią tak pracować. Spod łopat wylatuje żółty piasek i glina, a przez las widać już dużą szczerbę. Tor kolejowy!

Nie możemy prawie uwierzyć. Jednak ciągnie się przed nami tor, który ma się połączyć z zaniedbaną trasą między Rzeszowem i Kolbuszową. I to podobno w szybkim tempie. Mało tego: kilka kilometrów dalej widzimy grubą żyłę gazociągu, pieczołowicie kładzioną w ziemię. Połączy ona cały okręg ze źródłem energii w Jaśle.

Za powrotem, w Rzeszowie, witają nas nowiną o rozwoju sieci elektrycznej z Mościsk, o kredytach na regulację rzek i dróg oraz o rozszerzeniu stacji telefonicznych. Słyszymy wreszcie o rozbudowie drugiego dworca rzeszowskiego: Rzeszów-Staroniwa i usprawnieniu linii Rzeszów-Krosno-Jasło.

Czyżby rzeczywiście?...

.

Pewnego dnia jesiennego okładam się znowu mapami i siedzę nad nimi długo w kręgu lampy.

— Teraz je oglądasz? Po wycieczce? — pytają mnie w domu.

Odpowiadam coś niewyraźnie i rysuję sobie po mapie nieobowiązujące linie czerwonym i niebieskim ołówkiem.

DAWNE I NOWE CZARY

Sandomierz zobaczyłem po raz pierwszy z niższego, galicyjskiego brzegu.

Mgła odcinała go dołem od ziemi i unosiła w powietrzu, zmniejszając go zarazem do rozmiarów ozdobnej miniatury. Zgasilem niecierpliwie motor, bo zdawało mi się, że hałas grozi rozwianiem się temu obrazowi. Dopiero po ścichnięciu maszyny usłyszałem głosy ziemi. Niektóre z nich były aksamitne, stłumione przez mgłę i miękkie łąki nadbrzeżne; inne — przeciwnie — szły po wodzie z daleka, dziwnie dźwięczne i świeże. Gdzieś zaturkotał głucho wóz i nagle ucichł, zjeżdżając w boczną drogę. Z dalekiej wsi odezwały się wyraźnie niewidoczne gęsi i rozległ się plusk wioseł. Wszystko to się

działo jakby w innej, sąsiedniej rzeczywistości, której istnienia można się było domyślić tylko z odgłosów.

Dopiero matowy dźwięk sygnaturki katedralnej zaczął zwolna rozpraszać mgłę i wywoływać z Wisły słońce. Zza mgły ukazał się most, jak zeschnięta, szerniała tęczą. Jechaliśmy między smugą wody, sunącej na północ i smugą chmur ciągnących na południe. Teraz znajomy turkot motoru dodawał otuchy naszej małości, zawieszanej w niczym.

Wjechaliśmy w gorszą z dwóch dróg prowadzących w górę, do miasta. Było stromo, jak na Szklaną Górę. Potem jeszcze jeden i drugi podskok na szerokim ścieku i zniknęły nam z oczu obydwie brzegi Wisły.

Miasto koronuje sam szczyt góry, zamyka się przed wiatrami znad rzeki i kieruje wzrok wewnątrz siebie. Zresztą wzgórze, z którego wyrasta miasto, wydłuża się w

głąb lądu i do rzeki zbliża się węższą swoją stroną.

Długo chodziliśmy po mieście, szukając między domami widoku na Wisłę. Niełatwo go znaleźć. Od strony Browarnej aż do domu Długosza ciągną się źle wypieczone, pozlepiane domki. Od wylotu ulicy Zamkowej aż do katedry stoi ściana rynku. Tylko spod katedry można spojrzeć dalej, dojrzyć Wisłę i płaskie pole. Siadamy tu na niskim murze i pozwalamy oczom uciec od nas. Za nami zbiły się w gromadę stare domki i patrzą ponad naszymi głowami w tę samą stronę. Jest bardzo cicho i w tej ciszy człowiek się odpręża tak bardzo, że powraca do wspomnień dzieciństwa. Zresztą to pewnie wino lip, których zapach na zawsze połączył się dla mnie z obrazem pewnego dworku, dziś niestety tak odnowionego i przebudowanego, że dusza z niego uciekła.

Lipy pachną także przy surowym i wzniosłym, jak psalmy, kościele św. Jakuba. Bar-

wa starej, siedmio-wiekowej cegły jest całkiem niespotykana. Ma w sobie matowość starego brokatu i ciepło prześwitujących sęków. Naśladować ją potrafią tylko czerwono-żółte lilie, których jest pełno na wszystkich cmentarzach sandomierskich. Ta krwista barwa jest na miejscu wśród grobów miasta, które tyle wojowało. Przeszło najazdy tatarskie, austriackie i rosyjskie, miało bohaterów i męczenników. Jeden z papieży powiedział przecie, że każda garstka ziemi sandomierskiej jest relikwią, z której gotowa trysnąć krew męczenników.

Czymże innym jest cały Sandomierz, jeśli nie relikwią przeszłości bohaterskiej i barwnej?

Stoimy wysoko nad miastem, przy kościele św. Pawła. Kościółek ten nie należy już właściwie do miasta. Otoczony jest po więksku żytem i chabrami. Za to widać stąd dobrze całe miasto. Wodzimy wzrokiem wzdłuż panoramy i sprawdzamy naszą po-

bieżną znajomość. Tuż poniżej widzimy wiśniową plamę św. Jakuba; dalej biały Zamek Kazimierza Wielkiego, katedrę z wieżą celującą ostro w niebo, masyw domu Długosza; renesansowy ratusz i wysoką elewację Bramy Opatowskiej.

Wszystko to nosi w sobie pamięć czasów, których już nie znamy i wszystko raduje oko dziś jeszcze. Raduje bardziej, niż domy nam rówieśne. Takie, które potrafimy sami zbudować.

Nie zdobyliśmy się jednak na odpowiednią oprawę dla tego szlachetnego kamienia, choć w naszej drewnianej, pochłanianej przez pożary Polsce, mamy tak mało podobnych klejnotów. W Zamku — za przykładem Rosjan — zostawiliśmy więzienie; skrzydło klasztoru św. Jakuba się wali; jedna kamienica podsieniowa w rynku runęła, drogą zeszpecono brudnymi sklepami, a chodniki i jezdnie każą patrzeć pod wykrę-

cające się nogi, zamiast na szkarpy, podsienia i ostrołukowe portale.

Nie oszczędzamy również nowoczesnego, beztwarzowego sąsiedztwa szanownym patrycjuszom: koło starej, swojskiej kanonii rośnie jakiś jaskrawo-czerwony sześcian, a schronisko Towarzystwa Krajoznawczego im. Żeromskiego musiało się pobudować właśnie w stylu pudełka zapalek.

Sandomierz nie miał tego szczęścia, co Kazimierz nad Wisłą, aby go brać malarska odkryła, obsiadła i wycalowała każdą szczerbę jego rynku rozkochanym pędzlem. A Sandomierz jest tak malarski, że przyłapuję się sam na myśleniu o nim barwami i kształtami. Kto wie zresztą, czy potrzebnie szukam jego *z n a c z e n i a*? Może właśnie sensem Sandomierza jest wznoszenie swoich attyk i wież?

Tej tajemnicy Sandomierza nie odkryły jeszcze władze miejskie. Nie próbują odnowić dawnego przymierza miasta z Wisłą i

uciekają do nowych, nic nie znaczących dzielnic, budujących się jak najdalej od rzeki. Stoki góry sandomierskiej, które powinny być pokryte winnicami oraz bielą kamiennych schodów i serpentyn, są dzisiaj śmietniskiem i ściekiem. Kraj wzgórza obrócony ku Wiśle powinien być zakończony ścianą oszklonych domów, nie wałem prawie bezokiennych chałup. Szeroko otwartymi oknami powinni patrzeć na okoliczne ziemie i wody młodzi wycieczkowicze z płaskich, bezrzecznych stron, aby się nauczyli kochać Wisłę, serdeczną aortę Polski.

Boję się o Sandomierz. Jeszcze nie zdążyliśmy uczcić jego przeszłości, a już gotowiliśmy ją zepsuć niecierpliwą przyszłością.

Wieczorem wychodzimy z pudełkowatego schroniska i błądzimy na oślep po mieście.

Lampy są rzadkie i nie wydobywają światłocienia murów. Wszystkie budynki miasta wtarły się w ciemność i pogubiły. Na rynku spotykamy jakieś — pożał się Boże — usiło-

wanie wydobycia budynku z głębi nocy. Do koła wieży ratuszowej migoce wieniec niewielkich żarówek. Żarówek — niestety — różnokolorowych. Wieża wygląda w tym jarmarcznym wianuszk, jak kadłub żydowskiej choinki. Jest to herezja wobec gwiazd i nocy.

Jeszcze jedno miejsce jest silniej oświetlone. Drewniana niska szopa o tandetnie obrzuconych tynkiem ścianach. Lampa zawieszona nad wejściem ma coś karczemnego. Blaszane litery głoszą zarozumiale „Czary“. To kinematograf.

Przyglądamy się afiszom. Olbrzymie postacie Clarka Gable i Loretty Young pozbawione są twarzy. Jacyś wielbiciel gwiazd, kina i postępu wycięli je równiutko brzytwą. Tak bardzo zatęsknili do tego piękna importowanego z kraju szablonu. Nie przypuszczają pewnie, że znudzeni śmiertelnie swoją ojczyzną Amerykanie wycinają podobnie z ziemi francuskiej stare zamki i przewożą

je do siebie. Jakże chętnie wycięliby cały Sandomierz i przenieśli go na nudne płaszczyzny Nebraski.

Przez zygzakowaty łańcuch skojarzeń przypomina mi się w tej ciemnej nocy jasno oświetlone słońcem boisko w nowej części miasta. Jest tam i skocznia, którą nazwaliśmy „skoczną samobójców“, jako że zjazd prowadzi na stromą ścianę jaru. Boiska widzimy w szeregu miast spotykanych po drodze. Boiska „Sokoła“, „Strzelca“, Przysposobienia Wojskowego, szkół i harcerzy. Założenie boiska mają sobie za punkt honoru dzisiejsi propagatorzy nowej kultury. Synowie kultur dawnych: Grecy i Rzymianie nieśli ze sobą stadion, termy i teatr. Znaleźć je można: od afrykańskiej Leptis i Małej Azji aż po Lutecję Parisorum. My — ograniczamy się do boiska piłki nożnej. Nawet o staropolskiej łaźni zapomnieliśmy zupełnie, a zamiast teatrów stawiamy drewniane

budy, w których wyświetlamy standartowe czary.

Ciekawe, co przyniesie Sandomierzowi przemysłowy trójkąt, którego jest wierzchołkiem. Wtajemniczeni twierdzą, że przede wszystkim wielki, węzłowy dworzec kolejowy. Że będą się tu nawet krzyżować drogi z Paryża — Pragi — Moskwy i Gdyni — Bukaresztu.

Dworzec ten powstanie zapewne na prawym brzegu Wisły, przez rozszerzenie obecnej stacyjki. Szyny nie wdrapią się zapewne na Góry Pieprzowe, które czuwają obornie na lewym brzegu. Kto wie nawet, czy nie powstanie nowa dzielnica handlowa w dzisiejszej osadzie Nadbrzezie, gdzie dziś już jest i port i stacja. Sandomierz obecny pozostałby na uboczu, jako dzielnica szkół i muzeów. Cieszylibyśmy się z tego my, urzęczeni barwą i mową starych murów.

Prawdziwe jednak odrodzenie Sandomie-

rza przyjść może jedynie od Wisły. Z niej miasto wyrosło, w niej miało obronę i z niej żyło. Wisła broniła miasto od najgroźniejszej strony: od wschodu, do którego Sandomierz jest cały zwrócony surową twarzą. Wisła dawała żywność i Wisła była drogą w świat.

Dziś leniwie płynie krew tej tętnicy. Spadło jej ciśnienie nawet od czasów zaborczych. Port w Nadbrzeziu miał za czasów austriackich znaczenie poważne. Leżał na granicy dwóch państw i miał znaczne obroty. Wysyłał węgiel z Galicji, a zboże z tych stron aż do Niemiec. Podupadł wskutek zbudowania linii kolejowych (Sandomierz — Skarżysko i Rozwadów — Lublin), a zaniedbania Wisły. Groteskowo więc wygląda fakt, o którym pisze w swoich pamiętnikach b. starosta tarnobrzeski P. Spiss, że mimo spadku pracy i znaczenia portu, rezyduje tam obecnie większa liczba urzędników.

Zdaje się, że bardzo niepotrzebnie leje się tam atrament nad Wisłą.

*

*

*

Na samym wyjeździe z Sandomierza spotykamy czysto ubranego mężczyznę, który podchodzi do nas i prosi o papierosa. Wypalenie „fajki pokoju“ zbliża nawet Blade Twarze, mężczyzna mówi więc z żalem i ironią, że Sandomierz go oszukał. Słyszał, że mają tu budować wielkie rzeźnie mechaniczne, sprzedał więc wszystko i przyjechał aż spod niemieckiej granicy.

— Bo ja panie był w rzeźni, w Chicago za foremana nad Murzynami.

Zamilkł na chwilę i zamyślił się nad swoją niepotrzebnością obecną. Ssał długo papierosa, a wreszcie splunął pod nogi.

— Postęp! — przeciągnął zjadliwie. Dużo hałasu o nic. Nabierają tylko...

Na zakończenie powiedział nam, że dostał bilet powrotny, ale nie ma do czego wracać.



Ruiny zamku Krzysztopor.

Fot. J. O.



Sandomierz. Zamek.

Fot. J. O.

Gdyby miał parę groszy, zaraz jechałby do Ameryki.

— Tam jest ruch, robota... — westchnął marząco.

Trochę zawstydziliśmy się w imieniu Polski i Sandomierza, ale jednocześnie budził się bunt: rzeźnia w Sandomierzu?

Z tym groteskowym dylematem w duszy rozstaliśmy się z foremanem chicagowskim. Ale wracaliśmy jeszcze nieraz do tej alternatywy, aby w dyskusjach popełniać błąd jednoznacznych rozstrzygnięć: albo romantyczna sielskość, choćby w ubóstwie, albo higiena i cywilizacja, choćby w szablonie.

Niedługo potem przejeżdżaliśmy koło wsi Ocice i Jadachy. Zatrzymał nas widok pracy przy wielkich czarnych rurach leżących wzdłuż wyrabanej blizny lasu. Z drugiej strony szosy żółciło się pole łubinu. Łubin pachniał wyzywająco i skromnie zarazem. Jego zapach, który napróżno usiłują podrobić wszelkie fabryki perfum — uświęcał zie-

mię i powietrze. Naraz od strony czarnych rur błysnęła smuga biało-fioletowego ognia i rozszedł się silny odór acetyleny.

— Otóż to! — powiedziała z tryumfem moja towarzyszka. Zapach cywilizacji...

Zemstę zostawiłem na później, bo właśnie wyjeżdżał z lasu niski samochód ciężarowy i szofer z zawiniętymi rękawami skinął mi po koleżeńsku ręką.

— Gazociąg? — spytałem podchodząc bliżej.

— Gazociąg — odpowiedział z dumą. — Spawamy na powierzchni, a potem dopiero opuszczamy w rów całe kawały.

Pokazał za siebie ręką na fioletowy płomień, cuchnący czosnkiem. Na tle płomienia kręciło się kilkanaście postaci.

— Tylu mechaników? — zdziwiłem się.

— Gdzie! — zaśmiał się z wyższością. — Nas jest tylko dwóch. To chłopci z Ocic. Do kopania. Rwą się do zarobku, bo wieś prze-

cie taka nędzna, że dzieci wcale nawet cukru nie znają.

Zastanowił się chwilę i przyznał lojalnie, choć trochę niechętnie:

— Mają „śmiekałkę“ do roboty. Jeden już nawet spawa rury. Pod nadzorem, ma się wiedzieć.

Kiwnął ręką i odjechał, a my podeszliśmy do miejsca, gdzie przed chwilą zgasł ogień.

— Szczęść Boże! — powiedziało nam się mimowoli, jak przy żniwach. Chłopi ani się zdziwili ani zawahali: „Daj Panie Boże!“ Jeden z nich stał oparty dumnie na maszynie do spawania. Na oczach miał okulary podobne do szoferskich, z ciemno przydymionymi szklami.

Spytaliśmy, czy robota przy gazociągu nie odrywa ich od robót rolnych, od żniwa... Machnęli pogardliwie rękami:

— Takie tam i żniwa! Baba z dzieciakami zbierze bez kłopotu. Ziemia tu mocno licha. Bez łubinu nie urodzi.

— Łubin to niby szyld kiepskiego gruntu — dodał któryś.

Spojrzałem z ukosa na moją towarzyszkę i spytałem dalej o życie we wsi. Było im ciężko, bardzo ciężko. Mówili o tym bez rozżalania się, rzeczowo i twardo. Chleba do zniwczasem starczy, czasem nie. Jedzą głównie ziemniaki i mleko. Soli używają bydłęcej, ciemnej. Słodzą sacharyną. Na pytanie, czy często jedzą mięso — roześmiali się bez komentarzy. Szybko jednak porzucili to niewdzięczne rozpamiętywanie.

— No, teraz — chwalić Boga — jest zarobek! — wskazali życzliwie na rury.

A ten, który oparty był na maszynie, poklepał ją życzliwie i powiedział z uznaniem:

— Bardzo specjalna maszynka! bardzo specjalna!

CZTEROLISTNA KONICZYNA

Przyjeżdżamy do parterowego, schowanego w lasach miasteczka-osady. Jest to właściwie tylko wielki rynek otoczony — ni-by wyschnięte jezioro — małymi domkami. W rogach rynku jest kilka ulic dojazdowych, przechodzących nieznacznie w gościniec. Dzisiaj — mimo dnia targowego — rynek jest prawie pusty. Kilka fur i na pół rozstawione stragany podkreślają jeszcze dziwną martwość rynku. To strajk.

Dwa dni temu, na Matkę Boską Zielną a zarazem w rocznicę bitwy warszawskiej, odbyły się zjazdy Stronnictwa Ludowego, na których uchwalono dziesięciodniowy strajk. Padło hasło: nie wieźć niczego do miasta. Po drogach stoją podobno posterunki i zawracają jadących.

My jednak niczego nie zauważyliśmy. Wiodocześnie wszystko odbywa się sprawnie i spokojnie. Idziemy jednak teraz w stronę szosy przyjrzeć się temu z bliska. Widzimy kilku młodych ludzi z zielonymi opaskami na rękawie. Przechadzają się zwolna po szosie, prowadząc w rękę rowery.

Nadjeżdża właśnie wozem starszy gospodarz z dwiema kobietami. Z dna wozu wykrzykuje bezmyślnie gęś. Jeden z wartowników podjeżdża do fury na rowerze i zaczyna się pertraktacje. Jadący na wozie nie myślą bynajmniej odmawiać wartownikowi prawa zatrzymania wozu. Nie kwestionują też zupełnie samej uchwały. Skarżą się tylko, że nie zawiadomiono ich na czas. Na niedzielnym zjeździe nie byli, bo też plucha była okropna, a we wsi nikt im nie powiedział. „Powinni byli puścić wiadomość od chaty do chaty, to by przecie człowiek nie jechał na próżno“.

Potem okazuje się, że gospodarz ma pła-

cić jakąś ratę, a i koniowi trzeba dać odsapnąć. Chłopiec na rowerze odjeżdża w bok, a fura rusza do miasta. Nie widać, żeby strajk był traktowany zbyt rygorystycznie. Może dlatego, że pilnujący uchwał nie czują się jeszcze dość pewni w swojej roli, a może zdają sobie sprawę z tysiącznych węzłów wiążących wieś z miastem. Bo nie wiadomo dokładnie, kto straci na tym strajku. Czy rząd, czy mieszkańcy miast, czy może sama wieś.

W spółdzielni rolniczej „Pług“ wybuchło to zagadnienie w całej jaskrawości. Niewielki a ruchliwy kierownik spółdzielni cały aż kipi oburzeniem i odwołuje się do rozsądku stojących dokoła gospodarzy. Rzecz jest taka: na stacji stoi wagon tomasyny przeznaczony dla spółdzielni. Trzeba zaraz przewieźć towar, bo spółdzielnia zapłaci składowe, a tymczasem prezes Stronnictwa nie chce dać przepustki dla wozów. Oczywiście,

że odbije się to na kieszeni chłopów, którzy zapłacą drożej za tomasynę.

Chłopi wahają się. W zasadzie przyznają nawet rację kierownikowi spółdzielni. Ale gdy prosi ich o interwencję u prezesa, nie decydują się. Są to sprawy zbyt trudne, a stawka jest większa, niż cena tomasyny.

Następnego dnia mówiłem o strajku z wpływowym sekretarzem Stronnictwa w sąsiednim powiecie (a byłym starostą — mówiąc nawiasem). Zastrzegał się on energicznie, że strajk nie ma charakteru ekonomicznego, ani nie jest wymierzony przeciw miastom. Miała to być tylko demonstracja polityczna i próba sił.

Wiedział jednak, choć ciężko mu to było wyznać, że sprawy gospodarcze nie dadzą się całkowicie oddzielić od politycznych, a współzycie ludzi ze sobą jest tak skomplikowanym zjawiskiem, że każde posunięcie odbija się w niespodziewany sposób i w niespo-

dziewanych punktach, jak ruch powtórzony przez dziesiątki krzywych zwierciadeł.

Jeden z większych właścicieli ziemskich okręgu, dr Jan Hupka, polityk konserwatywny, dawny działacz N. K. N. i autor „Pamiętników nie-kombatanta“, opowiadał mi o swojej rozmowie z komitetem strajkowym. Komitet ów tak określił sytuację: dawniej chłopci mogli wybierać swoich posłów i — mądrze czy głupio — ale dawali wyraz swojej woli. Wybierali też radę gminną, sołtysów i wójtów, i znowu — źle czy dobrze — ale wpływali na bieg spraw. Obecnie wszystko robione jest z góry, a o ich zdanie, o ich potrzeby nikt się nie pyta. Dla wyrażenia swej woli i zaznaczenia swej siły zmuszeni są do wejścia na drogę strajków i demonstracji. Tym chcą zmusić władze do liczenia się z wsią i dopuszczenia do współudziału w rządach.

Na pytanie, czemu dopiero teraz demonstrują, skoro zmiana ordynacji nastąpiła

przecie dawniej, objaśnili spokojnie, że przed tym były tak ciężkie czasy, że nie można było narażać najmniejszego zarobku. Dzisiaj zaś o „grajcary“ już trochę łatwiej, więc mogą zaryzykować. Znana to rzecz, że rewolucji nie robi człowiek zagłodzony, tylko na poły syty. Ci, którzy wygodnie tłumaczą sobie ruch chłopski chwilową biedą wsi, bardzo się zawiodą. Poprawa może podnieść nastroje opozycyjne na wsi, zamiast je uśmierzyć.

Cały więc przebieg ostatnich demonstracji — zdaniem komitetu — jest dobitnym przykładem wartości, a nawet niezbędności systemu parlamentarnego. Bez względu na swoje wady, odgrywał on rolę kłapy bezpieczeństwa. Ładunek niezadowolenia rozbrajał się w atakach i demonstracjach słownych, w oświadczeniach z trybuny sejmowej i polemice prasowej. Obecnie ferment ten sprężany jest przymusem milczenia i potęguje się z dnia na dzień.

A nie należy zapominać, że z tego właśnie okręgu wyszli pierwsi posłowie chłopscy do parlamentu austriackiego (Szajer, Bomba), że tu mieli bazę operacyjną tacy radykalni działacze ludowi, jak ks. Stojałowski i Stapiński, że wreszcie nie gdzie indziej, jak w tych właśnie stronach, rozdmuchiwali namiętności chłopskie smutnej pamięci ks. Okoń i „major“ Dąbal.

Nie bez znaczenia jest również bliskość siedziby wójta z Wierzchosławic, którego wielu chłopów zna tu osobiście i — jeśli nie uwielbia — to ceni, jako chłopskiego wodza, a może już tylko, jako symbol chłopu u rządów państwa.

System parlamentarny, który dla wsi b. zaboru rosyjskiego był czymś nowym i obcym, a więc w pewnym znaczeniu — zbędnym, tutaj wrósł już w umysły i przyzwyczajenia. Ograniczenie go czy zniesienie wieś odczuwa jako uszczuplenie swoich własnych wiejskich, chłopskich praw. A im

świeższe jest zdobycie tych praw, tym go-
rętsze do nich przywiązanie i większa nie-
ustępliwość przy ich obronie.

Na pytanie, do czego dzisiaj dąży Stron-
nictwo Ludowe, otrzymałem twardą i zwię-
złą odpowiedź, jakby żywcem zaczerpniętą
z dawnej konstytucji szlacheckiej:

— Nic o nas, bez nas.

Człowiek, który mi to powiedział, prze-
szedł poprzedniego dnia rewizję, w związku
ze strajkiem. Wspomniał o tym bez goryczy,
a nawet z pewnym pobłażaniem.

— Niedługo i tak zasiądziemy do wspól-
nego stołu (musimy przy nim zasiąść!),
więc po co te srogości? — powiedział.—My,
przywódcy, możemy to jeszcze zrozumieć,
ale w dołach powstaje wrzenie, które utrud-
nia nasze przyszłe porozumienie.

— Mówią, że strajk ten został narzucony
przez górę Stronnictwa, wbrew woli i inte-
resom wsi — wspomniałem.

* Mój rozmówca stwierdził znowu spokoj-

nie, że „tak mówią zawsze“. Każdy ruch — ciągnął dalej — uważa się za akcję prowadzonym, wbrew woli spokojnej masy. Moskale uważali, że patriotyzm polski to agitacja księży i panów. Podobnie oceniano odrodzeniowy ruch Czechów oraz rozwój ruchu robotniczego. Tym razem jednak strajk wybuchł właśnie pod wpływem parcia z dołów, które domagały się jakiejś akcji.

— Pamięta pan rozruchy w Grodzisku w 1933 roku? — spytał.

Pamiętałem je aż nadto dobrze i przyznam się, że dzikość i bezsensowność obustronna tych zamieszek została mi jako ciężkie, przygnębiające wspomnienie. Powiedziałem to.

— Właśnie! — zgodził się od razu mój informator. — Był to wybuch zupełnie nieorganizowany i nie mający żadnego celu. Dzięki. Takie odruchy są stokroć niebezpieczniejsze, niż zorganizowany strajk.

— Mało się wie o nastrojach wsi — powiedziałem.

— Nic. Nic się nie wie! — usłyszałem w odpowiedzi. — Co więcej, błąkają się po Polsce bałamutne i mętne poglądy o nastrojach wsi i o ruchu ludowym. Na przykład w niedawnej polemice spierano się o to, czy chłopci chcą, czy nie chcą reformy, a nikomu nie przyszło do głowy sięgnąć do źródła: to jest do uchwalonego niedawno przez nas programu. Niech pan posłucha...

Wyjął zieloną broszurę i poszukawszy chwilę, odczytał mi te słowa:

„...przeludnienie i olbrzymie, wielomilionowe ukryte bezrobocie wsi powodujące nieuchronny wzrost nędzy wywołać może w niedalekiej przyszłości groźne dla państwa wstrząsy. Interes społeczny wymaga wywłaszczenia obszarów dworskich dla stworzenia z nich bardziej wydajnych, drobnych warsztatów rolnych i oddania



Sandomierz. Fragment Domu Długosza.

Fot. J. O.



Delegacja włościan w Nowosielcach.

Fot. L. Bojczuk.

ich w ręce tych, którzy osobiście na ziemi pracują“.

— Niedwuznaczne — powiedziałem. — Zdaje mi się jednak, że stronnictwo wasze nie wysuwa hasła reformy rolnej na plan pierwszy. Więcej się słyszy o zmianie ordynacji i przywróceniu pełnego demokratyzmu.

— Tak. Prawa polityczne są nam niezbędne, żeby przeprowadzić zmiany gospodarcze. Zmiany zasadnicze. Kraj, który ma 65% chłopów, musi nie tylko „uwzględnić“ okazyjnie nasze interesy, ale całą swoją gospodarkę musi przestawić na nutę wsi.

Chcąc dotrzeć do sedna rzeczy, potrąciłem o klasowość chłopską, a nawet powtórzyłem opinie o wpływach komunistycznych na wsi. W odpowiedzi wskazano mi znowu słowa programu:

„Stronnictwo Ludowe... obejmuje okiem swym i swoją troską nie tylko klasowe interesy wsi, ale całość interesów narodu

polskiego i stworzonego przezeń tysiącletnią pracą — państwa...”

„Na pierwszym planie stawia Stronnicstwo Ludowe sprawę ugruntowania naszej państwowości przez zapewnienie Polsce bezpieczeństwa i siły na zewnątrz...”

„Podstawą przyszłego ustroju rolnego winien być indywidualny, samodzielny warsztat rolny, oparty na prywatnej własności...”

Czytałem — przyznaję — z pewnym zdziwieniem: nie oczekiwałem tak wyraźnej, jednoznacznej wypowiedzi. Mój rozmówca uśmiechał się:

— Czy wygląda to na komunizm? Za wiele — zdaje się — szafuje się w Polsce tym straszakiem.

Upierałem się jeszcze, że program nie jest wszystkim, że w praktyce...

— W praktyce — przerwał mi — zdarza się radykalizm chłopski we wsiach o najbardziej nienormalnym ustroju rolnym. Nigdzie

przecież w całej Polsce nie ma tylu gospodarstw karłowatych, co w naszych stronach. Zdarza się radykalizm, ale ostatecznym marzeniem każdego radykała jest własne gospodarstwo. Chłop-komunista, to przeciwieństwo samo w sobie. Tak jest wszędzie, nie wyłączając... Rosji. Trzeba tylko — zamiast obarczać chłopą tanim zarzutem komunizmu — oprzeć się właśnie na nim jako na najpewniejszej zaporze przeciw komunizmowi.

— Cóż więc nas dzieli i różni? — powiedziałem na pół do siebie.

— Niewiele, bardzo niewiele. Bo chyba tylko to, że wy — inteligenci — uważacie nas ciągle za obiekt, za przedmiot działania, a my się czujemy podmiotem. Znamy już swoją siłę. Wieś się obudziła.

To prawda. Zetknąłem się ostatnio bliżej z ludźmi ze wsi i nabrałem pewności, że na wsi nastąpił jakiś przełom. Nastąpiło ożywienie i wkroczenie na wielką drogę, o zna-

czeniu — śmiałem to powiedzieć — historycznym. Nie uzewnętrzniało się to może w żadnym zdarzeniu, czy akcie zewnętrznym, ale dla uważnego obserwatora zjawisko samo nie ulega wątpliwości. Faktu tego nie zdoła już pominąć żaden decydujący czynnik polityczny w Polsce. Takie procesy, pozornie nieuchwytnie i mające wyraz raczej psychiczny, są niejednokrotnie bardziej decydujące, niż fakty polityczne. Dzieją się one między okresami zewnętrznych wystąpień i pogłębiają ruch, a nawet może warunkują następujący okres aktywności politycznej. Były zresztą i pewne wystąpienia zewnętrzne, imponujące swoją liczebnością i organizacją. Były przecież Nowosielce ze swymi stoma tysiącami chłopów, niesłychanie sprawnie zorganizowanymi. Rozstawienie i przemarsz oddziałów, aprowizacja i opieka sanitarna nie pozostawiały nic do życzenia.

Był pochód idący kilka godzin przez ulice Rzeszowa i był wreszcie strajk, który wy-

wołał interwencję administracyjną, a następnie... dymisję osiemnastu starostów. Po Nowosielcach obiecywali sobie chłopci wiele, po ostatnim strajku nie liczą na nic prócz siebie, co ma swoje dobre, ale i złe strony. Ustalenie właściwej i konsekwentnej linii politycznej w stosunku do wsi jest konieczne. Nic nie przynosi takiej szkody, jak dorywczość i zmienność pojmowania racji stanu.

Jednego dziś nie można nie dostrzegać: że rząd dusz na wsi — jeśli idzie o Małopolskę — ma Stronnictwo Ludowe, że chłopci uważają je za jedyną formę i wyraz swego życia publicznego. Najsilniej występuje to w środkowej Małopolsce, ale z rozwojem życia politycznego wpływy trzech stronnictw chłopskich połączonych w jedno mogą się rozszerzać coraz bardziej.

Do udziału w życiu politycznym dopuścić ich będzie trzeba. A skoro tak — to lepiej dać im obeznać się i wyrabiać w jawnym ży-

ciu politycznym, niż spychać w ramy roboty konspiracyjnej.

Świadek nie podejrzany o stronnictwo, dr Hupka z Niwisk, o którym wspomniałem poprzednio, pisze w swojej książce (str. 452):

„Osobnym rozdziałem moich uwag będzie stwierdzenie, że nastroje chłopskie w zachodniej Małopolsce nie są dobre; żą są one wobec rządu, a zwłaszcza wobec biurokracji w najwyższym stopniu opozycyjne“.

„Osobiście, z punktu widzenia konserwatysty, uważałbym nowe ordynacje wyborcze za zbyt reakcyjne...“ (Sic!). I dalej:

„Kamieniem obraży było też wprowadzenie gmin zbiorowych i nacisk administracji przy wyborach gminnych, pozbawiający ambitne chłopskie jednostki wpływu i w gromadzie i w gminie“.

Jeśli nie da się ujścia nagromadzonej energii, to radykalizm celów i metod, który

dzisiaj ogarnia wieś, może wyrazić się w odruchach zupełnie anarchicznych i niszczycielskich. Na jednym z wieców chłopskich zwrócił moją uwagę szczupły, wyschnięty człowiek z oczami osadzonymi blisko siebie, który wykrzykiwał co chwila:

— Pójdziem na miasta! pójdziem na miasta!

Tego rodzaju proste lekarstwo może zbyt łatwo przypaść do gustu nędzy wiejskiej, zwłaszcza, że pamięta się tu dobrze „republikę tarnobrzESCO-kolbuszowską“ ks. Okonia, który ogłaszał, że „sejm pozwolił hulać przez trzy dni, od pierwszego do trzeciego maja“. Wybuchła wówczas rebelia, która przelała wiele krwi i którą trzeba było również krwawo likwidować.

Leczenie profilaktyczne jest lepsze, niż dopuszczenie do zapalenia i operacji chirurgicznej. A odznaka Stronnictwa Ludowego — czterolistna koniczyna — jest lepsza, niż czerwone gwiazdy i swastyki.

CHRZESTNI

Naprzód dochodziły nas tatarskie wieści o tym Uniwersytecie, plotki, pogłoski i opinia „kuźni buntu“. Potem — z drugiej strony — podziw i uznanie dla tej pracy, która ma odradzać dusze „w sposób prawie mistyczny“ — jak nam powiedział pewien działacz ludowy.

Wreszcie wybraliśmy się tam sami.

Jedziemy samochodem pana Lasoty „amerykanina“, który wyjechał ze wsi Niechobrz z dziesięcioma palcami, a powrócił z dziesięcioma tysiącami dolarów. Część wprawdzie stracił na dewaluacji marki, ale kupił sobie jeszcze ładny dom z ogrodem i samochód, którym teraz zarabia. Przyjemnie jest siedzieć obok pana Lasoty; prowadzi wóz pew-

nie, choć ostro, a zarazem opowiada anegdotki z życia amerykańskiego i coraz błyska zębami w uśmiechu. Zbliża nas również braterstwo „motorowe”: pan Lasota grzecznie uznaje, że motocykl to jednak także maszyna i wdajemy się w długą dyskusję na temat „elastyczności” motoru.

W pobliżu Markowej spotykamy ludzi wracających z kościoła. Mężczyźni mają lniane sukmany, przypominające krojem szlachecki żupan. Podobne kapotki mają starsze kobiety. Nie spodziewaliśmy się tego właśnie w okolicy tak postępowej i — podobno — zradykalizowanej.

Zapatrzeni na lniane, jakby piastowe stroje, przejechaliśmy ową słynną Gać. Opanowało nas nierozsądne zawstydzenie, jakby minięcie tej wsi było symboliczne. Zadajemy temu kłam, zawracając natychmiast.

Wszyscy spytani o drogę wiedzą oczywiście, gdzie jest Uniwersytet Orkanowy i podają nas sobie na odległość głosu.

— To do pana Solarza? — pytają twierdząco.

Stromą drogą pnie się samochód pod górę i tymczasem nie widzimy nic. Dopiero na pewnym załomie gruntu wyrasta odrazu przed nami budynek doskonały w proporcjach, a swojski w wyrazie.

Na kamiennych schodach siedzi mężczyzna o twardym, jakby kwadratowym, rysunku głowy i postaci. Ubranie ma także lnia-
ne, ale skrojone po miejsku. Podnosi się powoli na nasze spotkanie i wita nas milczeniem.

Pierwsze wrażenie to — zwrócona do własnego wnętrza, zogniskowana siła, która się nie udziela na drobny użytek. A także — upór. Ogromny upór i nieufność. Mamy sposobność dowiedzieć się później, że nieufność ta jest aż nadto usprawiedliwiona.

Wstępne lody rozmowy przełamują się z trudem. Muszę ciągle podpierać rozmowę

pytaniem, na które padają krótkie, suche odpowiedzi, jak ciosy chwymane tarczą.

Rozumiem dobrze, jak wiele nas dzieli: dwie zupełnie inaczej przebyte drogi życiowe, dwa zupełnie odmienne zapasy doświadczeń, dwa inne słowniki. Zanim dojrniemy do siebie, dotykamy się omackiem jak ślepi. A ślepi są ostrożni, bo wiedzą, jak łatwo można urazić bolesne miejsce. Wyczuwam u mojego gospodarza wiele tych miejsc bolesnych i wstyd mi, że naruszam jego spokój. Dom o strzelistym dachu góruje nad wsią, wiatr przychodzi z daleka, cisza jest na miejscu: można tu mieć spokój. Nie mogę się jednak zdobyć na to, co może odrazu powinienem był zrobić: odejść i wyrzec się odgadnięcia tego człowieka. Pasja docierania do sedna każdej sprawy ludzkiej trzyma mnie tu na uwięzi i dyktuje coraz nowe pytania. Może pasja ta jest tylko ukrytą formą odgadywania samego siebie, ale czuję,

że rezultat tej rozmowy jest dla mnie bardzo ważny i niezmiernie mi potrzebny.

Antycypuję więc przypuszczalne odpowiedzi inżyniera Solarza i podaję w wątpliwość samą możliwość wychowania dorosłego człowieka. Sam jestem wychowawcą i wiem dobrze, jak mało wychowuję. Nasze metody wychowawcze są jeszcze zbyt toporne wobec niepowtarzalnej tajemnicy duszy ludzkiej. Mówię więc o swoich zawodach i rozczarowaniach, o bezradności nawet. Nie wiemy przecie, któredy trafić do psychiki człowieka i jak ją rozwijać. Przez działanie, czy kontemplację, dyskusję czy milczenie, życie zbiorowe czy samotność, swobodę czy nakaz. Słyszałem od pewnego człowieka znającego metody pracy w Uniwersytecie Orkanowym, że praktykuje się tam ćwiczenia w kontemplacji, „dumania“ natury prawie metafizycznej. Chciałbym o to zapytać, ale zatrzymuję się w pół słowa.

Słucham tego, co inżynier Solarz sam mi

wreszcie mówi. A więc: przedmiotów zawodowych, rolniczych, nie uczą się w Gaci wcale. Nie o to im chodzi. Nie chodzi im o danie narzędzia do ręki, lecz o wyćwiczenie oka. Nie dążą też — wbrew oskarżeniom — do wyrobienia działaczy politycznych. Jeden tylko mają cel na oku: chcą, by się narodził Człowiek.

I tu mnie uderza, a nawet — przyznam się — wzrusza pewne słówko: nazwa „Chrzestny“. Tak po wiejsku i po rodzinnemu nazywają słuchacze p. Solarza. Nie jest dla nich dyrektorem, kierownikiem, instruktorem czy wychowawcą, ale właśnie „Chrzestnym“. Nie myślę się chyba, że tytuł ten jest bardzo drogi p. Solarzowi i jego współpracownicze — żonie, którą również nazywają „Chrzestna“.

Tych dwoje ludzi, nie mających prywatnego życia, przyjęło najpiękniejszy i najgłębszy tytuł, jaki zna język ludzki. Nie chcą być niczym więcej, jak tylko rodzicami



Zmeliorowane . zużytki.

Fot. Iagran



Spółdzielnia mleczarska w Handlówce.

chrzestnymi odradzającej się duszy ludzkiej. Trzeba im za to nawet przebaczyć omyłki, nieuniknione — być może.

W pewnej chwili narzuca mi się przypomnienie rozmowy z Karolem Stryjeńskim. Było to w jego szkole rzeźbiarskiej w Zakopanem. Chodząc wśród kapitałnych brył, ciętych w drzewie, spytałem go, jak osiąga takie wyniki, jakie metody stosuje. Obruszył się jakby:

— Metody? Wogóle nie stosuję żadnych metod. Pozwalam tylko każdemu wypowiadać się samodzielnie. To wszystko.

Powiedziałem wówczas półgębkiem, że najtrudniejszą rzeczą wydaje mi się doprowadzić człowieka do odkrycia samego siebie. Nie umiałem jednak sformułować wyraźnych zarzutów. Dopiero po wyjściu z wystawy uprzytomniłem sobie, że wszystkie te rzeźby, imponujące bogactwem pomysłowości, mają jeden styl. A skoro tak — to czyj styl?

Nie zadaję jeszcze tego pytania p. Solarzowi, ale zaczyna mnie ono niepokoić. Czy chrześniacy doprawdy sami wybierają sobie imiona?

Tymczasem jednak słucham historii Uniwersytetu w Gaci. Narodził się on w Szycach, a nawet jeszcze wcześniej: w Pałubach. Zamknięto uniwersytet w Pałubach, potem zamknięto w Szycach i związek byłych słuchaczy postanowił mieć własną placówkę, niezależną od nikogo moralnie ani materialnie. Zaczęło się — śmiech powiedzieć — od 20 zł. zebranych z bardzo pustych kieszeni wiejskich chłopaków. Po zamknięciu Szyc było już 900 zł. Wszystko to jednak było mało. Na budowę nie wystarczyło i trzeba było biedować „kątem“. Jednocześnie szła praca organizacyjna. Szła opornie, bo chciano stworzyć spółdzielnię do budowy nowego uniwersytetu, a ustawa nie przewiduje (!) spółdzielni dla potrzeb duchowych. W końcu i to się jakoś przełama-

ło, ale do położenia fundamentu pod własny dom było daleko. Pierwszy kurs w Gaci zaczyna się w warunkach, które mogłyby zniechęcić najwytrwalszych. Gospodarze gaccy robią, co mogą; dają bezpłatnie kwatery, sale jadalne i wykładowe. Ale wszystko to rozrzucone w ośmiu budynkach, między którymi brnie się po błocie kilka razy na dzień. Wskutek ciasnoty i złych warunków zachorowuje i umiera 6-letnia córeczka państwa Solarzów. Potem następują utrudnienia ze strony administracji. Te najwięcej bolą młodzież wiejską. Dochodzi do wkraczania policji z karabinami do sali wykładowej, a wreszcie do opieczętowania budynku.

Jeden z wychowanków uniwersytetu pisze o tym z goryczą w swoich wspomnieniach: „Świetlica... przez władze opieczętowana, choć dopiero wczoraj otwarta... Dotykaliśmy się pieczęci... 15-sty rok wymodłonej Polski!...”

„Jednak — jak pisze „Chrzestna“ — naj-

cięższe przejścia z władzami nie zasłaniają nam obrazu Polski, jeno coraz mocniej utrwala ją w dążeniu do sprawiedliwości w niej...”

Doprawdy, ludzie, którzy tak odpowiadają na utrudnienia, a nawet — mówiąc wyraźnie — szykany ze strony przedstawicieli niższych władz, dowodzą własnej mocy i pewności zwycięstwa.

Zresztą sam fakt, zbudowania siedziby w Gaci przez byłych słuchaczy Uniwersytetu Orkanowego może dać „Chrzestnym” wiarę we własną pracę. Obawiam się, że wielu wychowanków zwykłej szkoły byłoby gotowych raczej zburzyć swój zakład po ukończeniu go, niż budować mu nowy gmach.

Związek szycaków i gacaków jest przywiązany nie tylko do swego zakładu, ale stanowi wraz z jego kierownikami, jedną rodzinę, w której się wie o ważniejszych zdaniach każdego z uczestników. Ma to swój specjalny wyraz, kiedy się czyta takie „gac-

kie wieści“: „całkowicie wewnątrz rodziny naszej pobrali się: Stach Szydełko z Jadzią Piłatówną, Józio Karolak ze Stasią Kumoniówną i Józiek Mazur z Józią Franczakówną... Pożenili się też Swoki: Adam Polewka z siostrą Stefy Suchtówny i doczekali się ładnej córeczki, a także Józef Steliga po powrocie z Danii...” itd.

Imieniny „Chrzestnych“ i słuchaczy uważa się za zdarzenia obchodzące wszystkich i świętuje się je zbiorowo, rodzinnie. A rodzina „gacaków“ jest niemała: na kursy przyjeżdżają chłopcy i dziewczęta nie tylko z najbliższych okolic, ale z całego prawie kraju. Co roku przechodzi przez Uniwersytet czterdziestu kilku chłopców i tyleż dziewcząt. Kurs męski trwa od października do lutego, żeński od lutego do maja. Opłata — 15 zł. miesięcznie.

Słucham tych wszystkich informacji i podziw mój rośnie. Chłop, ów realista, w naszym, inteligenckim pojęciu — stworzył so-

bie placówkę, która nie tylko nie daje żadnych uprawnień, ale która nawet nie ułatwia mu pracy na roli ani w stronnictwie politycznym. Wychowuje go tylko i uczy myśleć. Takiego „luksusu“, o ile wiem, nie zna świat inteligencji. Tam dąży się co najmniej do świadectw, dyplomów, otwierających drogę do posad. Ukończenie zaś Uniwersytetu Wiejskiego w Gaci nieraz właśnie utrudnia dalsze przebijanie się przez życie: przylepia absolwentom etykietę „niebłagonadiożnych“.

Zazdroszczę państwu Solarzom atmosfery, która wypełnia ich zakład i — mimowoli prawie — chcę ją porównywać z normalną, przeciętną szkołą. Co chwila jednak staje wobec zjawisk, których nie umiem zestawić, które wydają mi się niemożliwe, niewykonalne. Tak jest np. z programem. Nie odważyłbym się dać tego materiału nawet w ostatnim roku szkoły średniej. Dziwię się i notuję:

„Dzieje życia i porządek w przyrodzie — 1 godz. tygodniowo, Świat po wojnie — 2 g., Dzieje chłopów — 1½ g., Piśmiennictwo polskie i obce — 2 g., Rodzina — 1 g., Historia sztuki — 1 g., Kultura ludowa — 1 g., Socjologia wsi — 1 g., Spółdzielczość — 1 g., Gospodarstwo społeczne — 1 g., Zagadnienie gospodarcze wsi — 1 g., Rachunkowość i kalkulacja — 2 g., Teatr samorodny — 2 g., Ćwiczenia w wypowiedaniu się i wypisywaniu — 2 g., Czytanie utworów literackich — 2 g., Śpiew — 1 g., Rozprawy z udziałem wsi — 2 g., Dyskusje wewnętrzne lub gazety — 2 g., Odczyty słuchaczy — 2 g., Gimnastyka duńska — 6 godzin tygodniowo“.

Wobec takiego zjawiska, jak Uniwersytet w Gaci, wstydziłbym się wszelkiej płyty i zdawkowości. Dlatego mówię to, co myślę: program jest bardzo trudny. Bałbym się, że wychowa dyletantów, pseudointeligentów.

Znamienny wypadek opowiadał mi raz or-

ganizator kursu dla samouków. Spytał starszego robotnika, czy jest z kursu zadowolony. Ze zdziwieniem usłyszał, że — nie.

Przecież daliśmy wam dużo — powiedział. — Właśnie to było złe — upierał się robotnik. — Teraz może się wielu z nas wydawać, że wiemy już wszystko i że nie potrzebujemy się dalej kształcić.

Czy nie grozi podobny rezultat gacekom — nie wiem. Nastrój tej szkoły może być katalizatorem ułatwiającym przyswojenie materiału, niestrawnego dla zblazowanego kulturą syna rodziny inteligentkiej.

Nastrój Uniwersytetu Orkanowego ma bowiem bezsprzecznie coś mistycznego czy apostołskiego. Zdradzają się z tym mimo woli: wycieczkę w strony rodzinne Orkana nazywają „pielgrzymką“, objazdy propagandowe „misjami“, a godziny rozmyślań „dumaniami“. Pytam pana Solarza, czy mógłbym tu przyjechać z jakim referatem. Pan

Solarz przyjmuje wdzięcznie propozycję i dziękuje.

— Zawsze chętnie nauczymy się czegoś nowego — mówi.

Ale ja — dla siebie — wiem, że przyjadę po to, aby się właśnie od nich czegoś nauczyć. Muszę usłyszeć, jak w tej atmosferze dźwięczą słowa i zobaczyć, co z nich wyraasta. Tymczasem jestem zbyt wypełniony wrażeniami, żeby prowadzić dyskusję. Milcząc idziemy obejrzeć dom. Witkiewicz, który go projektował, nadał mu twardą osiadłość u fundamentów, a strzelistość w dachu. Dom mocno trzyma się górki, a zarazem wieńczy ją i podnosi wyżej. Ale jest to dopiero początek: na górcie mają powstać jeszcze trzy budynki. Ten, który już stoi, będzie wtedy przeznaczony tylko na mieszkania. Dziś musi starczyć na wszystkie potrzeby. Pan Solarz z wstydliwą nieco miłością pokazuje mi każdy szczegół budynku.

Jest tu przecież nie tylko gospodarzem, ale twórcą.

A więc klamka jest połączeniem zwykłej wiejskiej zaszczepki i fabrycznej klamki wpustowej. Ma być bardzo praktyczna. Okucie drzwi wzorowane jest na starych drzwiach kościelnych, znalezionych gdzieś na strychu, a w sali wykładowej stoją wspa- niałe ławy i stoły, przypominające projekty Wyspiańskiego do „Bolesława Śmiałego”. W tych szczegółach widać pietyzm, z jakim budowano ten wspólny dom i widać mądry stosunek do starej tradycji. Wybiera się z niej wszystko, co ma wartość i włącza się do kultury nowego człowieka. Przykładem tego jest odznaka Uniwersytetu i Związku gacaków: „krzywula”, laska, którą od pradawnych czasów zwoływali się kmiecie na wiec.

Nadchodzi pora odjazdu.

Szukamy pana Lasoty, który z początku słuchał jednym uchem naszej rozmowy, a

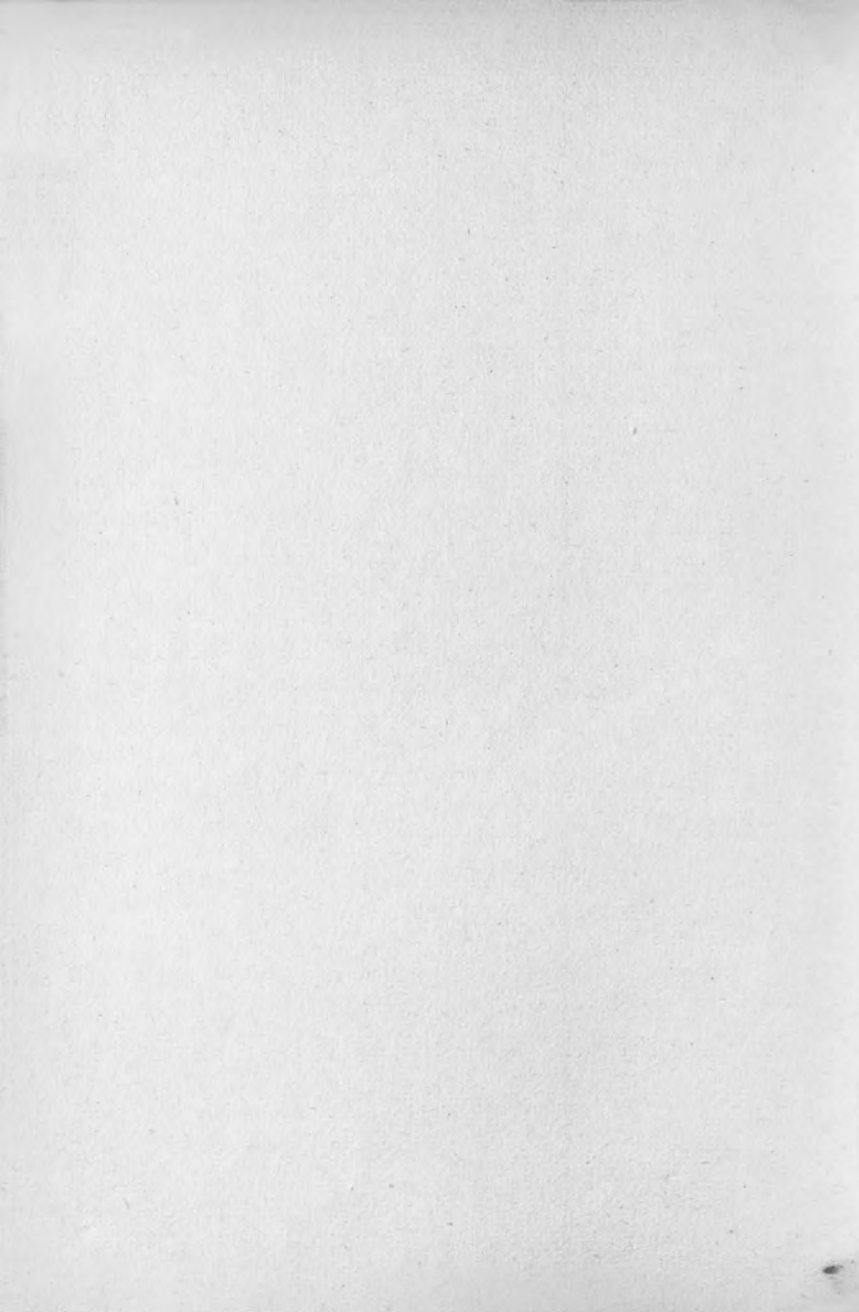
potem znudził się widać i zasnął na trawie, w cieniu swojego samochodu. Siadamy znowu obok siebie, na przednim siedzeniu i zjeżdżamy ostrożnie z górki.

Staram się wytłumaczyć w krótkości panu Lasocie cel i charakter zakładu gackiego, ale nie znajduję oddźwięku. Kiwa głową pobłażliwie i milczy. Dopiero na szosie odzywa się nagle. Mówi, że w Ameryce najgorzej się powodzi właśnie „poduczonym”. Prostý chłop prędzej wydobędzie z siebie obrotność i zaciętość w dorobku, niż taki „co ma w głowie przewrócone”. Najlepszy sposób podniesienia wsi to — według pana Lastoty — żeby każdemu dali pracować, jak chce, bez żadnych patentów i świadectw. Wtedy człowiek się dorobi. A jak się już dorobi, to przyjdzie czas i ochota na wszystko: na lakierki i radio, na krawat i książkę.

— Tylko, że u nas nie można się dorobić—
spluwa pan Lasota.

Ford unosi nas coraz dalej od Gaci.

KONOTOP I CZUMIZA



Staliśmy we trzech obok budującej się fabryki pod Lisią Górą w Rzeszowie. Prezydent miasta, ja i dyrektor fabryki, którego nazwiska nie zapamiętałem. Rozmowa nie kleiła się, bo obydwaj panowie byli zdenerwowani zapowiedzianą wycieczką ministrów i senatorów. Mimo to poruszyłem zagadnienie, które oddawna nie dawało mi spokoju: czy i w jakim stopniu ludność okoliczna skorzysta z uprzemysłowienia okręgu. Zadałem to pytanie prezydentowi miasta, ale odpowiedział dyrektor. Wydawał się podrażniony samym podniesieniem wątpliwości i odpowiadając zwrócił się nie do mnie, ale do prezydenta. „Oczywiście, że ogromnie skorzysta“ — powiedział.

Nie wystarczyło mi to. Spytałem, czy nadmiar rąk roboczych ze wsi znajdzie pracę w fabrykach. Dyrektor odpowiedział mi znowu zwracając się do milczącego prezydenta, ale już mniej stanowczo. Powstające fabryki metalurgiczne — wywodził — potrzebują fachowców-mechaników. Bezrobotna ludność rolnicza nie może więc liczyć na pracę w nich.

Tak właśnie przypuszczałem.

„Natomiast przy budowie fabryki, zwózce materiału i robotach ziemnych mogą pracować i bezrobotni wiejscy“—przypuszczał dyrektor.

W odpowiedzi na to wskazałem na liczne „dugi“ kołyszące się nad grzbietami końskimi. Zaprzęgi te i wozy nie były miejscowe. Należały do Poleszuków, których sprowadzono całą gromadę.

Prezydent zaczął się wówczas rozwodzić nad kształtem i wielkością łopaty poleskiej. Miała ona bić na głowę łopaty miejscowe,



Lniane stroje w Gaci.

Fot. J. O.



Krzyż na absydzie kościoła farnego.

Fot. J.

a Poleszucy (jakoby potomkowie Holendrów, którzy wybudowali kanał Ogińskiego) mieli być specjalistami od robót ziemnych. Sprowadzono ich również do pracy w Rożnowie i Porąbce.

Nie mogłem jakoś uwierzyć w tę niezwykłą specjalizację, ale przyjąłem do wiadomości, że nawet do prac przy budowie fabryk sprowadza się robotników z innych stron. Cóż więc zostaje ludności miejscowej?

„Zwiększona konsumpcja miast — odpowiedzieli mi obaj panowie. — Łatwiejszy zbyt. Wyższe ceny“.

Zapewne. A więc — rolnictwo. Ludności miejscowej pozostaje w dalszym ciągu rolnictwo, jako główny środek utrzymania. To właśnie chciałem ustalić, bo dotychczas mówi się tylko o wchłonięciu przez powstający przemysł nadmiaru rąk roboczych ze wsi.

I na tym jednak nie koniec. Nasuwają się dalsze, nieco kłopotliwe wnioski. Jesteśmy

przecie w okręgu mającym najwięcej w Polsce karłowatych gospodarstw. Ziemia jest licha. A przy tym — w planie Centralnego Okręgu Przemysłowego — za „okręg aprowizacyjny“ uznana została pobliska, żyzna Lubelszczyzna. Czy ziemie „trójkąta“ między Wisłą a Sanem wytrzymają konkurencję lössów lubelskich? Czy mogą liczyć na większy zbyt swoich produktów lub może na większą wydajność swoich gospodarstw? Na to nie otrzymałem już odpowiedzi. Rozległy się sygnały samochodów — przyjechała wycieczka.

*

*

*

Jedziemy na północ, szosą Rzeszów-Sandomierz. Im dalej wjeżdżamy w tereny dawnej puszczy sandomierskiej, tym częściej spotykamy żyto, ziemniaki i łubin. Innych roślin uprawnych nie spotyka się wcale. Gleba tu skąpa i niechętna. Przez rzadkie kłosa prześwituje łysina ziemi, a wzdłuż

szosy ciągną się krótko strzyżone błonia, na których nie widać ani krów, ani owiec czy nawet kóz. Gdzie spojrzeć, wszędzie tylko gęsi i gęsi. Skubią mizerną trawkę lub suną po niebieskich płachetkach kałuż, jak białe obłoki.

Widok ten nie jest mi obcy ani nawet nie-miły; znam go z moich nadwiślańskich stron rodzinnych w Lubelszczyźnie. Ale wiem, co on oznacza: piaszczyste lub błotniste podłoże, niska murawa lub kwaśna trawa.

Przez całą godzinę defilują z obu stron szosy te zielonorude pasma łąk z białymi plamami stad gęsi. Wsie wyglądają ku nam z rzadka. Zaledwie dotykają szosy jednym krańcem i zaraz uciekają w głąb jałowych poletek. Można tylko dojrzeć słomiane strzechy i zórawie studzienne, niespotykane tam na południu. Zjawiają się także rozczapierzone dłonie wiatraków, sygnalizujących do siebie na migi.

Wjeżdżamy wreszcie do Kolbuszowej,

miasta wyrosłego z lasu i dziś jeszcze nim żyjącego. W ciemnym, zarzuconym broszurami pokoju rozmawiamy z panem instruktorem rolniczym, Ingramem. Pan Ingram ma nazwisko nie polskie, wygląd Włocha, energię Francuza, a wytrwałość Holendra. Rzadko zdarza się w Polsce tak właściwy człowiek na właściwym miejscu, jak on właśnie. A że przy tym sam jest gospodarzem małorolnym — chłopci słuchają go całkiem inaczej, niż pozostałych instruktorów.

Mówię panu instruktorowi o tych gęsiach po drodze i o rudych łąkach. „Ho, ho! Pastwiska, łąki—toż to właśnie mój konik”— śmieje się pan Ingram. Ale nie chce sam opowiadać o tych sprawach. Zaraz złączą się schodzić gospodarze po porady, bo to właśnie jego dzień przyjęć. Oni mają mi powiedzieć o pracy rolniczej w powiecie.

— Ja sam mógłbym malować zbyt różowo — śmieje się znowu pan Ingram. Gospodarze się zeszli. Posiadali gdzie się dało,

niektórzy stoją półkolem i — jak chór grecki — przywtarzają temu, co się mówi.

— No, panie Serafin, jak to było z Konotopem? Niech pan opowie! — zachęca pan Ingram.

Serafin wygląda raczej na Mefistofela: jest chudy, długi, ma orli nos i tragiczne brwi. Porusza kilka razy sępią grdyką, nim wydobędzie rzadko używany głos.

Był więc Konotop. Takie bagno, gdzie się konie topiły. Od tego je nazwali. Trawy z niego nie było, tylko jakaś kwaśna trzcina. Krowiny jej ani ruszyły. No i właśnie pan instruktor zaczął naciskać, żeby rowy kopać przez to bagno. Do melioracji znaczy się. Naród z początku nie miał wyrozumienia na to, więc się opierał trochę.

— Ładnie „trochę!“ — woła pan Ingram. — A nie wołali to ludzie, że z siekierami na mnie pójdą, jak zechcę przez ich grunty rowy kopać?

A no, było to, było... Gospodarze uśmie-

chają się pobłażliwie i nieco wstydliwie. Teraz za to całkiem inna sprawa: łąki się osuszyło i siano zbiera się pierwszorzędne.

Serafin mówi głosem tragicznym, ale w pogodnym sensie, że gdyby nawet obliczyć robociznę na pieniądze — to już w pierwszym roku opłaca się wszystko. Później już tylko czysty zysk się zbiera.

Zaczynają potem mówić wszyscy naraz o jakiejś amerykańskiej szufli, która pierwsza idzie na zmeliorowaną łąkę. Żaden pług nie poradzi pono na te młaki, tylko właśnie szufla. Układają się więc odrazu, kto weźmie szuflę dzisiaj, kto jutro, i gdzie ją odwieźć.

「 Tymczasem pan Ingram przedstawia mi cały swój plan pracy w powiecie. Ułożony jest konsekwentnie i przewidująco. Na pierwszy ogień pójdzie przetworzenie nieużytków w pastwiska i łąki. Następnie będzie się forsować hodowlę rasowego bydła czerwonopolskiego, a wreszcie rozwinie się

spółdzielczy skup i przeróbka nabiału. Zresztą częściowo już zapoczątkowano i tamte dalsze działy.

Poza tym popiera się usilnie sadownictwo, które ma tutaj dobre warunki rozwoju. W ciągu dwóch tylko lat wprowadzono do powiatu 20 tysięcy drzewek owocowych, uznanych za najodpowiedniejsze na tutejsze grunta. Znaczną część tych drzewek rozdano za darmo. W miejscach, gdzie melioracja bagnisk byłaby zbyt trudna—wprowadza się rybne stawy, które opłacają się znakomicie.

Cóż jeszcze? Bardzo wiele: propaguje się len i organizuje kursy tkackie, zakłada cementowe gnojownie, organizuje kółka rolnicze i koła gospodyń wiejskich, rozwija spółdzielczość mleczarską, a ostatnio tworzy się spółdzielczą dostawę produktów rolnych dla wojska.

Słucham tego wszystkiego z głębokim zawstydzeniem: czemu o tej ogromnej, praw-

dziwie „organicznej“ pracy tak mało się mówi, wie, słyszy? W naszych oczach prawie zmienia się oblicze ziemi, z jałowizn wytwarza się warsztaty pracy i podstawy dobrobytu, a my nic o tym nie wiemy. Chcę więc teraz nadrobić i odkupić swoje niedbalstwo. Dopytuję się uważnie o strukturę tej akcji. Chcę wiedzieć, czyja to głównie zasługa, na kim ta praca stoi.

Słucham odpowiedzi, ale nie bardzo rozumiem. Jest więc Izba Rolnicza, jest Wydział Powiatowy i jest Okręgowe Towarzystwo Rolnicze. Instruktor powiatowy jest czymś w rodzaju sługi trzech panów: wszyscy w taki czy inny sposób chcą kierować jego pracą. Wydaje mi się to niepraktyczne i chaotyczne.

— A chłopci, sami chłopci, czy wchodzi do którejś z tych władz? — pytam.

Okazuje się, że nie. Są co prawda w Radzie Powiatowej, ale Wydział jest dzisiaj raczej organem Starostwa i tak to chłopci

odczuwają. A do O. T. R-u odnoszą się nieufnie. Stąd również instruktor napotyka na wsi na niechęć, opór, podejrzenie.

A gdyby wszyscy gospodarze weszli do O. T. R-u? Czy nie uważaliby go wówczas za własną organizację?

Pan Ingram z namysłem mówi, że — „może“, że — „prawdopodobnie“. Tak właśnie sprawa się rozwija w powiecie rzeszowskim, ale kto wie, czy nie jest tam więcej polityki, niż rolnictwa.

— Ale niechby nawet! — dodaje po chwili. — Dla mnie jest niewątpliwe, że rolnik musi mieć swoją organizację zawodową. Wtedy dopiero będzie mieć do niej zaufanie i będzie żądać pomocy fachowej. Dzisiaj często trzeba się z nią wpraszać.

Potem mruczy do siebie, że „ta sprawa dojrzała do reformy“ i że „na to się zanośli“.

Wymieniamy jeszcze parę pytań i odpowiedzi bardziej w stylu „wywiadu“. Więc:

czy jest tylko jeden instruktor na powiat? Odpowiedź: jeden, a powinno być pięciu lub nawet dziesięciu. Moje zdziwienie zbija krótkim przykładem: nauczycieli jest w powiecie 200, policjantów 50, czy praca instruktorów jest mniej ważna? Na pewno — nie. To jest jasne już i dla mnie. Następne pytanie dotyczy głównego zajęcia i dochodu ludności. Odpowiedź brzmi krótko: sprzedaż nierogacizny i cieląt. Ani z warzyw, ani z owoców, ani z nabiału nie ma dotychczas większych dochodów. A pod względem zbożowym powiat nie jest nawet samowystarczalny. Zwłaszcza w latach nieco gorszych. Z rzemiosłem jest bardzo źle. W czasach dawniejszych słynęli stolarze kolbuszowscy, twórcy własnego stylu meblarskiego. Potem byli już tylko tokarze wyrabiający drobniejsze przedmioty. Dziś upada i to. Garncarstwo — jeden z najstarszych cechów w tych stronach — wegetuje jeszcze koło Sokołowa. To wszystko.

Wydajność rolnicza jest mała, a rozpiętość między cenami zboża i towarów—wielka. Tu pan Ingram podaje mi kapitalną ulotkę rozrzucałą przed niedawnym czasem przez chłopów:

„Bracia Chłopi!

„We wtorek idziemy na Kolbuszową, żeby się kura nie męczyła trzy razy na pudełko zapalek!“

Czytam potem odpowiedź pana Ingrama w ubożuchnej „Gazecie Kolbuszowskiej“. Porusza on tam kłopotliwą kwestię: czemu za jaje duńskie, holenderskie, szwedzkie, fińskie i estońskie płać w Anglii 10 groszy, a za polskie 4,6 groszy? Okazuje się, że jest sposób na to, żeby się kura nie męczyła trzy razy na jedno pudełko zapalek.

„Czy z tego należy wnosić, że nasz chłop źle gospodaruje?“

Na to moje pytanie pan Ingram zżyma się trochę: jest zanadto rozstrzygające. Oczywiście, że przygotowanie zawodowe nasze-

go rolnika jest za małe. Że gospodaruje on konserwatywnie i czasem opiera się ulepszeniom.

Ale trudno się temu dziwić: rolnikom, którzy gospodarowali intensywnie, dał ostrą nauczkę — kryzys. Przeszli więc — w modny dziś sposób — na naturalistyczną „autarkię“. I nie prędko się to zmieni. Postęp nie zawsze znaczy: korzyść. Czasem postęp się nie opłaca.

Moje własne obserwacje mówią mi, że to prawda. I tym pilniej, z tym większym szacunkiem notuję przykłady postępu i kultury wsi. W filmie, który mi się ostatnio przesunął przed oczami, nie brak takich obrazów.

*

*

*

Jestem we wsi Krasne. Przeprowadza się tam melioracja torfiastych łąk. Pytam sołtysa — mądrego gospodarza na swojej zagrodzie i w swojej wsi — o stan robót. Soł-

tys mówi zwięźle i ważko. Każde jego słowo ma pokrycie w rzeczywistości. Mówi, że dawniej nie rozumiano na wsi potrzeby melioracji, że teraz się to zmieniło z gruntu i że sami domagają się przyspieszenia. Podaje przekonujące cyfry, daje pełny obraz pracy dokonanej i pozostałej. I naraz nieoczekiwany szczegół: „Dawno byśmy już skończyli — mówi spokojnie — gdyby nie pan Potocki. Nie płaci należności od swego gruntu i hamuje nam robotę. Chodzi wszystkiego o 2 tysiące. No, ale już uzyskaliśmy na niego egzekucję“.

Doprawdy jest coś groteskowego w tym obrazie.

*

*

*

Wkrótce potem mam dłuższą pogawędkę z instruktorem rzeszowskim. Rozmowa, jak to zwykle bywa z początku, zawiązuje się z trudnością. Jeszcze nie znaleźliśmy punktów zaczepienia i wspólnego języka. In-

struktor — jak wszyscy ludzie konkretnego, uchwytanego czynu — przejęty jest nieufnością, a nawet obawą w stosunku do państwa słowa, które ja dla niego przedstawiam. Nie wie, jaką postać przybiorą fakty w oczach, których pola widzenia nie zna i nie może odgadnąć.

Wśród kłopotliwych półsłówek i chrząknięć bawi się jakimś suchym kłosem leżącym na biurku. I od tego właśnie kłosa rozpoczyna się najżywsza, najciekawsza rozmowa. Nie mogę odgadnąć, co to jest: proso? Jakaś odmiana owsa? Znam się przecie trochę — u licha! — ze wsią i rolnictwem.

Pan instruktor odżył, uchwycił swój rytm i już mnie pociesza grzecznie, „nie może pan tego znać; wprowadzamy dopiero tę roślinę. To mandżurska „czumiza“.

Instruktor jest jak najlepszego zdania o tym nowym gościu: Czumiza udaje się na naszych glebach, czumiza ma pożywne ziarno, łodyga czumizy nadaje się na paszę dla

bydła, czumiza daje duży zbiór. Kiwam głową, a myślę swoje: jakże to idzie z wprowadzaniem owej czumizy? Toć widziałem rolnika polskiego w Brazylii kręcącego nosem na fizon i ajpy, a siejącego uparcie swoje żyto, ba! — pszenicę. Pytam o to wreszcie i sceptycyzm mój trafia w próżnię. Czumizę przyjmują gospodarze bardzo chętnie. Próbuja, obliczają. „Wogóle wieś rzeszowska chętnie przyjmuje nowości“ — mówi instruktor. Biorę ostrożnie z biurka dziwaczny kłos czumizy i chowam na pamiątkę mojej niewiary.

*

*

*

Z dyrektorem szkoły rolniczej w Miłoci nie pod Rzeszowem poruszam sprawę zasadniczą, a trudną: sprawę wydajności małych i wielkich gospodarstw. Nie możemy oczywiście pominąć przy tym nazwiska prof. Grabskiego i burzy, którą przeciw sobie rozpętał. Przytaczam jego zdanie, że „na tere-

nie folwarków powstawały i powstają wsie, a na terenie wsi nigdy nie powstaje folwark“. A więc proces nieodparty, bez względu na takie, czy owakie argumenty.

Ale przecie: biorąc praktycznie, życiowo, konkretnie, jakby wyglądała parcelacja w tej okolicy? Czy wzrosłaby wydajność, czy spadła?

Dyrektor mówi bez wahania: wzrosłaby niewątpliwie. Wśród ziemian okolicznych dwóch, trzech najwyżej prowadzi racjonalną gospodarkę. Chłop nie mógłby sobie pozwolić na niedbalstwo. On wie, że z tych paru morgów musi wyżyć, więc bodaj łopata będzie ziemię przewracać, a wydobędzie z niej, co może.

— A jak jest dalej na północy, w powiecie kolbuszowskim? — pytam. Okazuje się, że są tam tylko trzy folwarki czysto rolne. Reszta wielkich własności — to obszary leśne, a trzecia część ich właścicieli to żydzi, prowadzący gospodarkę dość rabunkową.





Stroje dziewcząt w Gaci.

Fot. J. O.

Jak rozwój przemysłu w tych okolicach wpłynie na wyrąb lasów, jakie będą zarobki ludności i jakby tam wyglądała parcelacja — trudno sądzić. W okolicach rolnych jednak — jest nieodpartą koniecznością, choć i ona sprawy całkowicie nie rozwiąże.

Więc co? — pytam. — Kolonizacja wschodu? Rozwój drobnego handlu? Rzemiosło?

Widzę rozłożone ręce i słyszę przygnębiłą odpowiedź: „co pan chce? mamy 50 tysięcy zbędnych w rolnictwie ludzi w samym powiecie rzeszowskim“.

— A tworzący się przemysł?

Chciałoby się mieć nadzieję na tę deskę ratunku, ale cóż?—O rozwoju tzw. centralnego okręgu przemysłowego trudno dziś mówić swobodnie. Tajemnica państwowa, nieraz może przesadnie traktowana, utrudnia dyskusję publiczną. A może okazałaby się ona pożyteczna. To w każdym razie wiemy, że przemysł ten — związany jest z obro-

ną kraju. Nie jest to więc przemysł w czystym znaczeniu tego słowa — produkcyjny. Przemysł typu produkcyjnego — na przykład fabryki tanich maszyn rolniczych lub przetworów owocowych — wpłynąłby niewątpliwie silniej na ożywienie gospodarstwa. Przemysł typu nie produkcyjnego, oparty przy tym o kapitały państwowe, w niewielkim tylko stopniu pobudzi inicjatywę prywatną.

I jeszcze jedno zagadnienie się wyłania. Przemysł tego typu starają się wszystkie państwa umieścić w okolicach najmniej dostępnych. Francja na przykład rozprószyła go w Wogezach. Podobnie i u nas umieszczono go w okolicach najmniej drożnych, najbardziej lesistych i odległych od centrów. I to jest dobrze. Ale czy będzie dobrze, jeśli okręg ten uprzemysłowi się, rozwinie i pokryje siecią dróg? — Czy nie straci swego „bezpiecznego“ charakteru? Czy nie ma tu jakiegoś *contradictio in adiecto*?

Nie wiem, ale zdaje mi się, że można by wymienić poglądy na ten temat, nie naruszając interesu publicznego. Wydaje mi się, że bezkrytyczny entuzjizm może nawet przynieść szkodę, gdy przyjdą rozczarowania. I wydaje mi się, że rolą pisarza jest ostrzegać i przewidywać.

Jeśli zaś chodzi o wsie tutejsze, ubogie a uświadomione wsie małopolskie, to interes ich winien być poważnie rozważony i uwzględniony. Choćby dlatego, aby ludność okolic, gdzie tak ważny przemysł powstaje — była przywiązana do państwa. Obecnie źle się dzieje na wsi tutejszej.

— A gdyby znaleziono istotnie — jak się o tym słyszy — ropę i rudę żelazną? — pytam.

— Ba, gdyby! — wzdycha dyrektor.

*

*

*

Dr. Hupka, właściciel Niwisk w powiecie kolbuszowskim, mówi o owej rudzie dość

chłodno. Owszem, ruda jest tu wszędzie, stąd nawet nazwy szeregu wsi, ale jest to tak zwana ruda darniowa, mało wydajna i cienka: 30 — 40 centymetrów. Próbowali ją eksploatować tu i ówdzie, ale porzucili: nie opłacała się. Może ostatnio odkryte rudy pod Frysztakiem będą wydajniejsze.

A ropa?

O ropie nic jeszcze nie wiadomo. Wierci tu „Pionier“, wiercą inni, szukają, ale tymczasem — trudno prorokować. Badano już przecież przed wojną okolice Tyczyna. Znaleziono ślady ropy, ale — zdaje się — nie wielkie. Teraz wiercą w Przesławiu niedaleko Mielca. Wywiercono już 700 metrów, a mają wiercić do 2000.

Ten upór działa optymistycznie. Kto wie, jakie bogactwo tryśnie z tej niepozornej ziemi. Sami nie wiemy, jakie źródła energii śpią jeszcze w naszym kraju.

Trzeba robić... głębokie wiercenia próbne.

L A M P A N r 5

Wpadła mi w ręce niewielka książeczka, która jednak zaciążyła mi, jakby ważyła sto pudów. Na okładce tej książki zobaczyłem trzy złamane kłosa zwisające bezsilnie, a tytuł wołał: „Wieś nie ma pracy“. Autor, współpracownik Instytutu Spraw Społecznych¹⁾, wziął za przedmiot swoich badań właśnie powiat rzeszowski.

Smutne obrazy zobaczył tu młody badacz. Tak smutne, że nie chciałem mu wierzyć i poszedłem w teren jego śladami, aby wykryć niedopatrzenia i przesadę. Jednak ta sucha i zwięzła książka mówiła prawdę. Prawdą jest, że jaj, mięsa i cukru wieś nie je wcale, a mleko tylko odtłuszczone (od-

¹⁾ Jerzy Michałowski.

wrotna strona spółdzielczych mleczarní!). Ze soli używa czerwonej, bydłęcej, że w tej samej słonej wodzie gotuje się kilka razy i że ciepłe jedzenie przyrządza się raz na dzień — rano. Potem dojada się tylko letnie resztki z poprzedniego jedzenia. Prawdą jest, że jedyne buty, a nieraz i jedyna cieplesza odzież służą kolejno całej rodzinie. Ze w izbie mieszkalnej jest często cielę albo prosię, a prawie zawsze kury, gęsi i króliki. Ze zamiast mydła używa się popiołu drzewnego, że w piecu nieraz pali się tylko badyłami ziemniaków, że tłuszczu używa się tyle, aby go tylko poczuć (i dlatego woli się tłuszcz zlekka pachnący „czujny“).

Czy dzieci istotnie chowa się w zimie do worków z sieczką, bo nie ma się ich w co ubrać — nie sprawdziłem, ale wierzę, że i to jest możliwe. Wierzę dziś w możliwości najbardziej niemożliwe.

Bo któżby na przykład uwierzył, że w XX wieku, w 20 lat prawie po odzyskaniu wol-

nego państwa, w centrum kraju są jeszcze — kurne chaty? (Tak!). Nie gdzieś tam na Polesiu, ale tu, w gęsto zaludnionej, środkowej Małopolsce. Drzwi w takiej chacie dzielą się na dwie części: dolna jest zamknięta, a górną się otwiera, aby dym mógł wyjść na dwór. Po izbie trzeba chodzić wówczas w pozycji zgiętej ku ziemi, bo dym gryzie w oczy. Tak jest np. we wsi Straszędzie. A takich straszęd wsi polskiej jest tu jeszcze sporo.

Pytałem także o łuczywo, o którym wspomina p. Michałowski. Tu jednak oburzono się z lekka. Małorolny gospodarz, były poseł, powiedział mi z przekąsem, że nie trzeba szukać aż takich sensacyj, żeby zrozumieć nędzę wsi. Nędzy tej właśnie dlatego się nie dostrzega, że nie jest ona dosłownym głodem, tylko stałym, powszechnym niedojadaniem.

Gdyby wieś tutejsza chciała się odżywiać normalnie, to nie mogłaby nic sprzedawać.

Dowóz produktów do miast odbywa się kosztem krzywdy rodziny rolnika, a zwłaszcza dzieci. To mi powtórzono z wielu stron i z naciskiem. Jak się więc odbije zwiększona konsumpcja miast na stanie odżywienia wsi — łatwo przewidzieć.

Wieś jest stale niedożywiona i nie umiera wprawdzie, ale marnieje z roku na rok. Potwierdzają to lekarze i statystyka, która wspomina cyfrę 138 tys. ludzi w powiecie odżywiających się niedostatecznie. Wiedzą coś o tym lekarze szkolni i komisje poborowe. A jeśli hasło obronności Polski ma być rozumiane głęboko i poważnie, to czyż nie naczelną zasadą tego programu powinien być zdrowy i silny rekrut wiejski, stanowiący 65% armii?

Może nie byłoby to zbyt wielką herezją, gdyby się powiedziało, że ta sprawa jest ważniejsza nawet, niż przemysł wojenny.

Po tym platonicznym westchnieniu wróciliśmy z moim gościem do łuczywa. A więc

łuczywa nie ma. Ale za to nie używa się większej lampki, niż nr 5. Jest to najmniejsza lampka kuchenna, jaką można dostać. Paru tylko gospodarzy we wsi pozwala sobie na lampkę nr 8. Lampki te pali się często w niezwykły sposób: zdejmuje się szkielko i palnik, a knot reguluje się tak, aby ledwo pełgał. Kopci on wtedy setnie, ale zużywa się podobno 50% mniej nafty.

Dla niektórych i to jest za drogie, robią więc sobie małe kaganki z kałamarza i spłaszczonej łuski karabinowej. Kto by chciał, mógłby się tu dopatrywać jakichś zastanawiających symboli. My jednak zamyśliliśmy się nad oczywistym a ciężkim skutkiem oszczędnościowego palenia lampki nr 5.

Oznacza to, że wieś nie czyta.

Napróżno towarzystwa oświatowe rozwożą na trzęsących wózkach zdobyte z trudem książeczyny. Wieś ma w zimie czas, ale nie ma światła.

Na takim trzęsącym wózku jechałem

właśnie do wsi Rudna. Towarzysz mój, spec od wyjazdów oświatowych, pielęgnował „lartarnię magiczną“, a ja rozważałem, co i jak mam powiedzieć ludziom, których twarży nie będę widział w mroku. Będę mówił do podwójnie nieznanej mi wsi. Zapowiedziałem swemu towarzyszowi, że po odczytacie musi zapalić lampę — choćby nr 5 — żebym mógł zobaczyć moich słuchaczy i porozmawiać z nimi twarz w twarz.

— O ile przyjdą — powiada mi frasobliwie — dzień targowy...

Ale przyszli. Naprzód z mroku zaczęły się wyłaniać dzieci i — ćwierkając jak wróble — smyrgały do niewielkiej izby szkolnej. Potem zaczęły zjawiać się wyższe i tęższe cienie. Towarzysz mój rozpoznawał je po ciemku i pytał o jakieś znajome sprawy.

Odczyt przeszedł mi ciężko. Nie wiedziałem do kogo mówię i co trafia do przekonania sali. W izbie stało wielkie, oczekujące

milczenie, a bliżej, w szkolnych ławkach szeleścił nieustannie szept dzieci.

Dopiero przy świetle zobaczyliśmy się z gospodarzami. Obawy mojego towarzysza nie sprawdziły się: mimo targowego dnia i przejmującego wiatru. przyszło sporo ludzi. Siedzieli w półmroku i patrzyli spokojnie, wyczekująco. Teraz jednak ja chciałem dowiedzieć się czegoś od nich. Spytałem ich o te właśnie nasze odczyty. Czy nie trafiamy z nimi w próżnię? Czy nie powiedzieli by nam, czego od nas chcą, czego oczekują?

Zapadło kopotliwe milczenie. Może nie chcieli nas urazić, a może sami nie wiedzieli dobrze, co wcześniej, a co później poznawać z wielkiego świata, który leżał daleko za nocą i wiatrem.

Odezwał się wreszcie gospodarz miejscowy — prezes Stronnictwa Ludowego w powiecie. Mówił, że ciekawi są wszystkiego, że nie chcą nam narzucać, że pewnie wybieramy i tak tematy, które znamy lepiej.

A potem powiedział coś, czego nie oczekiwaliśmy zupełnie. Że kto wie, czy ludziom z zewnątrz wsi, inteligentom, nie jest łatwiej pracować społecznie na wsi, niż tym, którzy ze wsi wyszli. Że nas, inteligentów, potrzebują i witają chętnie. „Jeśli tylko nie przychodzi się do nas z góry, ale jak równy do równego — to wieś potrafi być wdzięczna“ — powiedział.

Zwróciłem uwagę na nieufność wsi do inteligenta. „Jak kto, jak gdzie i jak z czym — odparł. — Do tych, co nas chcą dla swojej polityki skaptować, ufności nie mamy. To prawda. Ale kto przychodzi z oświatą, z pomocą w rolnictwie, w spółdzielczości — może liczyć na dobre przyjęcie. Nie mamy jeszcze własnych kadr, choć materiału w ludziach jest na wsi dość“.

O tym nie mogłem wątpić. W ciągu tych kilku lat, które spędziłem w Rzeszowie, stałem się mimowoli powiernikiem i doradcą wielu młodych sił wyrywających się ze wsi.

Jakimś — pozał się Boże — ambasadorem wielmożnej sztuki polskiej.

Przychodził do mnie kilkunastoletni pastuch, rzeźbiarz z Bożej łaski, który kozikiem wycinał przeróżne „figury“ a z podarowanej mu książki o Wittigu skopiował prawie wszystkie rzeźby. Przychodzili poeci i prozaicy, samoucy i wynalazcy, działacze i artyści.

Nie skąd inąd przecież, jak z tego właśnie Straszdyła z kurnymi chatami, wyszedł Cypriś, wynalazca-samouk, który — na szczęście — nie zmarnował się: dostał posadę w Państwowym Zakładach Inżynierii w Warszawie. A kto wie, czy to nie jego następcę spotkaliśmy kiedyś na szosie, jadącego na drewnianym, przez siebie zmajstrowanym rowerze.

Długich kilka godzin przesiedział u mnie skromny, pełen niewiary w siebie, poeta z pobliskiej Nienadówki, Jan Ożóg, który dziwił się, kiedy winszowałem mu talentu.

Zebrał potem swoje gęsto zapisane brulioniki i powędrował do Krakowa: głodować i uczyć się, jak pisać jeszcze lepiej.

Przychodzili i garncarze z Medyni, mistrze ceramiki, wyrabiający przekomiczne zabawki-zwierzęta, nie gorsze, niż szklane prymitywy Lalique'a. Były hafciarki z Hyżnego i tokarze z Kolbuszowej, wyrabiający w wolnych chwilach kunsztowne pawie z jednego kawałka drzewa. (Wszystko to zbiera drapieżny i niepożyty kustosz Muzeum Regionalnego — pan Franciszek Kotula).

Bywali wreszcie, najsmutniejsi z tego pochodu, pomyleni grafomani, z których jednak grzechem byłoby się śmiać. Zwierzali mi się ze swojej fantastycznej lektury, w której „Chata Wuja Toma“ sąsiadowała z dziełami Abramowskiego. Wyciągali ryzykowne, fantastyczne syntezy z kilkunastu niezrozumianych książek i — pisali. Pisali źle, książkowo, inteligencko, szczycąc się

niby poprawnymi, wyświechtanymi frazesami. Nie przedarli się jeszcze przez sztuczność, aby dojść do prostoty. Bali się jej nawet, bo za bliska im się wydawała prostactwa. Myśleli, że są już bliscy sztuki i mieli głęboki żal, gdy się ich chciało nawrócić do początków pracy i zmagania się ze słowem.

Zapewne, coś można wiedzieć o drodze, którą odbyli od pasienia gęsi aż do cikliwej, ale poprawnej nowelki o sierotce zamarzającej w noc wigilijną. Ci zbłąkani maniacy sztuki nie mają się z kim porównywać. Przymierzają się do swoich rówieśników ze wsi i widzą, że górują nad nimi. Znają, a co najmniej przeczuwają cały wielki świat myśli i słowa, którego tamci nawet nie podejrzewają.

Trudno utwierdzać tych smutnych i groteskowych ludzi w ich manii, ale trudno też rozwiewać miraż, którym żyją. Chyba — niech sobie piszą?

Znamienne, że wypytując tych — wcale

nie rzadkich—wykolejeńców wsi o ich życiorysy, zawsze natrafiałem na ten sam brak: żaden z nich nie skończył pełnej i normalnej szkoły powszechnej. Dwie, trzy lub najwyżej cztery klasy to wszystko. Zwichnięcie, które w nich się czuje, nastąpiło nie teraz dopiero, lecz już w dzieciństwie. Łyknęli wiedzy, otarli się o nią i zarazili głodem do niej. A potem wrócili do swego ubogiego świata bez książek, bez rozmów, bez barw i melodii. Napróżno próbowali żyć między duszną izbą a błotnistą drogą wiejską. Szamotali się dotąd w swojej rzeczywistości, aż stworzyli sobie fikcję, w którą mogli uciekać. Inni na ich miejscu wpadają — jak mówią o tym smutne statystyki — w powrotny analfabetyzm. Pęka cieniutka nitka łącząca ich z kulturą. Włóczą się wtedy po wsi, zbijają bąki i — guzy. Przecież nawet pracy dla nich nie wystarcza: w samym tylko powiecie rzeszowskim jest 70 tysięcy ludzi zbędnych w rolnictwie. Nasze marno-

trawstwo materiału ludzkiego jest zdumiewające. Z ludźmi postępujemy tak, jak z surowcami: wywozimy za granicę i dopiero stamtąd otrzymujemy — nie bez strat — pierwszorzędny materiał. Wtedy dziwimy się, że to powstało z naszego surowca.

A najłatwiej, z najłżejszym sercem, zapominamy o fundamencie całej kultury: o szkole powszechnej na wsi. Mało kto myśli i woła o tym, że obowiązek szkolny jest w praktyce przekreślony.

Doprawdy przypominają się czasy, kiedy panował w Rzeszowie Jerzy Ignacy, Świętego Państwa Rzymskiego Xiążę, hrabia na Wiśniczu i Jarosławiu, Lubomirski. Wydał on skuteczny uniwersał określający jego stosunek do oświaty. Pisze mianowicie:

„Wiadomo czynię komu o tym należy i będzie należało wiedzieć, a osobliwie IMCi Panu Commisarzowi generalnemu dóbr moich dziedzicznych, jurysdykeyom, tudzież miastu rezydencyalnemu Memu Rzeszow-

skiemu i innym Miasteczkom i wsiom dziedzicznym, iż ponieważ nie tylko w mieście Rzeszowie, ale też po innych miasteczkach i wsiach dziedzicznych Poddani wzięli sobie za zwyczaj¹⁾ bez opowiedzi i pozwolenia dworskiego synów swoich na nauki do szkół dawać, którzy — osobliwie zaś wieśniacy — nauczywszy się czytać, pisać, rachować i t. d., a dopiero łaciny (!), wychodzą z poddaństwa, przez co tymże samym poddanym nie mały uszczerbek, bo na szkoły swoim synom nakładając, niszczą się i do ubóstwa przychodzą, surowo przykazuję wszystkim poddanym, ażeby od tegorocznych wakacyj nie wazyli się bez wyraźnego odemnie na piśmie danego i ręką moją stwierdzonego Consensu synów swoich do żadnych szkół gdziekolwiek się znajdujących na nauki dawać, posyłać ani puszczać, a to pod surową i nieodpuszczalną

¹⁾ Podkreślenia moje (J. O.).

na każdego obywatela i poddanego karą; takowych zaś studentów i z dóbr moich zbiegów łapaniem i sekwestrowaniem, jeżeliby się który znalazł refragarius tej mojej raz na zawsze (!) postanowionej dyspozycji, serio zalecając i przykazując Ich MCiom PP. Commisarzowi Generalnemu i Gubernatorowi Rzeszowskiemu tudzież innym po wsiach i wszystkich dobrach moich dziedzicznym Ekonomom, Administratorom, Podstarościom et quocunque titulo nazwanym Rządcom“.

Przynajmniej wyraźnie.

Od 1743 roku, kiedy wyszedł ten uniwersał, upłynęło sporo czasu. Ale cóż? — dawniej pan nie pozwalał, dziś — bieda i ustrój szkolny. W naszych oczach, za naszych czasów, wieś cofa się w kulturze, a wieś to $\frac{2}{3}$ Polski.

Bo też nie nauczyliśmy się jeszcze patrzeć na wieś jako rezerwuar sił narodowych.

Przyglądamy się jej, jak „malowanym obrazkom“.

Pamiętam pewien występ młodzieży ludowej, na którym zobaczyłem po raz pierwszy okoliczne stroje ludowe. Stanowiły one przejście od brązowej sukmany lubelskiej do guni góralskiej. Były oprócz tego haftowane spodnie i pasy z kółkami, piękniejsze od krakowskich. Ktoś z gości „urzędowych“ spytał chłopca stojącego niedaleko od nas, dlaczego tak rzadko pokazują się w tym stroju. Chłopak uśmiechnął się pobłaźliwie: „Za drogi i niepraktyczny — powiedział — młoda wieś niechętnie się do niego odnosi“.

Ów urzędowy ktoś oburzył się prawie. Wspomniał o tradycji, o regionalizmie, o barwności, a nawet dumie wsi. Wywiązała się krótka dyskusja, którą chłopak przeciął krótko: „Jak jestem w sukmanie, to mówią do mnie „ty“ lub „wy“. Jak jestem w marynarce, to mówią mi „panie“.

Fałszywa ambicja? Wcale nie. Chłop chce

wejść do świata kultury jak równy między równych i dobrze, że tak się dzieje. Więcej nawet: źle jeśli chłop swoją niższość na pewnych polach przeciwstawia kulturze. To jest właśnie droga do bolszewizmu duchowego.

Ciekawe uwagi nasuwają się Wacławowi Gąsiorowskiemu ¹⁾ przy zestawieniu tego samego chłopca polskiego na tle Ameryki i „Starego Kraju“. Píše on: „Lecz najdokuczliwszym, najprzykrzejszym w tych dociekaniach jest ciągle i nieustannie wracające pytanie: dlaczego Jędrzej spod Tarnowa, siedzący w Ameryce, w ciągu lat kilkunastu, przeistacza się w człowieka, garnącego się do kultury, do lepszego bytowania, wyrasta na obywatela kraju, jest wzorem ofiarności, doskonałą komórką pracy społecznej, — a tenże sam Jędrzej spod Tarnowa, tkwiący rzetelnie pod tym samym Tarnowem, w najpomyślniejszych warunkach,

¹⁾ W. Gąsiorowski: Ach, te „chamy“ w Ameryce.

jest tylko bezwładnym, tchórzliwym fujarą, nieciekawym prostakiem.

I dalej:

...Albo choćby te dragale. Wysunęli się na czoło i nie tylko z przebiegłości i z ozora, ale i z nauki, której nie gorzej liznęli. Rzadkie to przypadki, aleć są. Chłop z chłopą, plebej z plebeja i — dostojnik. Radość, że tacy się znaleźli nareszcie. Krótka radość. Oni dopiero teraz pokazują, co to plebej, co to chłop. Niemiecka czapka na uchu, łapy w majtasach, buty z cholewami i na raut reprezentacyjny. Co im takim do obyczaju, do manieri, do poloru. Oni właśnie nie chcą być narówni mizernych czarności godowych. Kpią z krawatów, na szczęście, że nie z guzików. Im więcej grubiaństwa, tym więcej demokracji“.

W Rosji zamiast ubrać kulturalnie chłopą, wciśnięto jego „rubaszkę“ na inteligenta. Potępienie czystego kołnierzyka było początkiem akcji „dołój gramotnych“. Jeśli

nasza wieś nie chce równania w dół, nie ma powodu się martwić. To zaś, co jest pięknego w stroju ludowym, wróci może, ale jako strój ogólnonarodowy. Przykładem Tyrol.

Nasz romantyzm lubi patrzeć na wieś od zewnątrz, od strony malw przed oknami i rosochatej wierzby. Kiedy jednak patrzeć od wnętrza dusznej chaty przez nigdy nie otwierane okno — obraz odmienia się poczwarnie. Kopciuszek traci piękną suknię i karekę. Jest tylko ubogą i brudną dziewczyną z kuchni.

Kto zbłądził pod strzechę, ten przekonał się, że trzeba ją jak najprędzej — zburzyć. Że zamiast gliniastej ziemi w izbie, trzeba położyć czystą podłogę. Że trzeba dwu-, trzy-, czterokrotnie powiększyć powierzchnię okien i otwierać je jak najszerzej. Że zbite, jak owce w stado, lepianki trzeba racjonalnie rozmieścić. Że z wąskich poletek, przypominających sentymentalnym inteligentom łowickie pasiaki, trzeba potworzyć sko-

masowane gospodarstwa. Że słowem — wieś, dzisiejsza wieś polska, musi zniknąć. Musi zmienić się na szereg kulturalnych farm.

Ponieważ nie chodzi nam o rezerwy egzotyizmu, ani o malownicze ghetta.

Ponieważ — chodzi nam o — Człowieka.

A jeśli uda nam się przy tym zachować to, co wykwiła z narodowego poczucia piękna — to tym lepiej.

*

*

*

Wracając z odczytu w Rudnej zobaczyliśmy na horyzoncie półkolistą lunę, podobną do zorzy północnej. Nie mogłem uwierzyć, że to Rzeszów — ten mały, biedny Rzeszów tak bardzo przemawia do gwiazd. Obejrzałem się na wieś, której prawie wszystkie okna były ciemne. Jeszcze tylko chwilę ją widziałem. Noc i wiatr zdmuchnęły ją w najczarniejszą nicość. Jechaliśmy w stronę rozświetlonego nieba, z naszą małą lampką pro-

jekcyjną na kolanach, jak byśmy ją odwozili do źródła światła. Za nami została wieś, której na chwilę pokazaliśmy niknące obrazy i którą zostawiliśmy znowu w nocy za sobą. Noc milczała.

SAMI SOBIE

Zwiedzając przed kilku laty Lisków, zetknąłem się z pewnym dziennikarzem—mieszczuchem nie znającym prawie zupełnie wsi. Wydawało mi się, że powinien być podobity Liskowem i byłem mocno zdziwiony jego postawą. Chodził on po tej wyjątkowej w Polsce wsi nachmurzony i podejrzliwy, jakby wietrzył wszędzie jakiś podstęp, który musi w końcu wyjść na jaw. Zadawał twórcy Liskowa — księdzu Blizińskiemu najbardziej nieoczekiwane pytania i nie był zadowolony z żadnej odpowiedzi. W końcu, kiedy zostaliśmy sami, wylał mi cały swój sceptycyzm.

Musiały tu być jakieś specjalne warunki — mówił. — Nie wierzę, żeby w tak krót-

kim czasie można było przerobić człowieka, syna swojej warstwy, rasy i epoki. Gdyby uwierzyć w Lisków, gdyby wziąć go za dobrą monetę — trzeba postawić nas wszystkich w stan oskarżenia. Gdyby Lisków miał być miarą i normą, oznaczałoby to przekreślenie pracy wszystkich innych działaczy. Znaczyłoby to, że każda wieś powinna być Liskowem. Że samotność i wyjątkowość Liskowa obarcza nas wszystkich, cały naród, nieprzebaczalnym grzechem.

Dlatego nie wierzę w Lisków. Dlatego muszę uważać, że nie wyrósł on sam z siebie. Dobrze: Domy Ludowe, elektryczność, łaźnia... Ale czy zbudował je nowy, przetworzony człowiek, czy wola narzucona z góry i jakaś szczęśliwa koniunktura?

Opowiedział mi potem mój towarzysz historię Nałęczowa.

Interesował się nim Prus, Żeromski, M. Brzeziński i szereg działaczy społecznych. Zbudowano tam dom ludowy, sklep spół-



Garncarka z Medyni.

Fot. J. O.



Rynek Czudca.

dzielczy, szkołę rzemieślniczą i szkołę gospodyń wiejskich. Wszystko to bez śladu rozplynęło się, zmarnowało. Zostały tylko budynki, z którymi nie bardzo wiedziano co począć. Czy aby Lisków nie podzieli tego losu? Nie wiemy przecież, na czym polegał błąd Nałęczowa i w czym leży tajemnica Liskowa.

Rozmowa ta utkwiała mi mocno w pamięci i zaniepokoiła. Nie wiedziałem jeszcze wówczas, że samo życie da mi odpowiedź na te pytania i że zobaczę inny Nałęczów i inny Lisków już obok siebie, jakby w klinicznym przykładzie dwóch metod pracy społecznej na wsi.

— — — — —

O Albigowej i Handzlówce usłyszałem po raz pierwszy w rozmowie z pewnym tutejszym politykiem. Były one wówczas wspomniane tylko ubocznie, jako przykład i argument. Mówiło się wówczas o napięciu energii narodów słowiańskich i germańskich.

Polityk mój zbliżał się do poglądów rasis-towskich i w pewnej chwili rzucił pytanie, cytując — jak mi się zdawało — czyjeś słowa: „Les nations sont-ils edoucables?”

W odpowiedzi przytoczyłem przykład Czechów: ich zapobiegliwość organizacyjna była niewątpliwie skutkiem „edukacji” historycznej. — Albo domieszki krwi niemieckiej — odparował mój rozmówca.

Na mój wątpiący uśmiech powołał się na przykłady bliższe: okoliczne wsie powstałe z kolonizacji germańskiej i skandynawskiej. Wtedy właśnie padły nazwy Albigowej i Handzlówki, Dzikowa i Haczowa — wspa-niale zorganizowanej wsi szwedzkiej.

— Zresztą i Lisków — o ile wiem — jest dawną kolonią niemiecką — powiedział.

Nie chciałem i nie mogłem poddać się temu determinizmowi. Być może dlatego, że moja młodość i młodość ludzi mojego pokolenia przebiegała pod znakiem buntu przeciw wszelkiej zastanej rzeczywistości, nie

wyłączając buntu przeciw samemu sobie. Indeterminizm był i jest, jak sędzę, wiarą nieodzowną w działalności społecznej. Sprowadzając socjologię do biologii musielibyśmy się wyrzec jakichkolwiek nadziei. Pamiętałem zresztą opowiadanie księdza Bliźńskiego o tym Liskowie, który zastał. Wyglądał tak, jak wszystkie wsie polskie, ba! — gorzej. Nic w nim nie zdradzało wyższego gatunku człowieka. Trzeba było dopiero kilkudziesięciu lat pracy, aby wykrześć z niego iskry i rozpalić ognisko.

Podobnie opisuje Handzlówkę, jej główny twórca — Franciszek Magryś, autor „Życiorysu chłopca-działacza“. Była to biedna wieś podgórska, osaczona przez tradycyjne pijawki wiejskie: cztery karczmy. Nie było ani sali zebrania, ani nawet kancelarii gminnej. Wysoka Zwierzchność Gminna urzędowała w karczmie, a pisarzem gminnym był Żyd-karczmarz. Odrodzenie wsi zaczęło się

od zmiany pisarza, którym został właśnie Magryś.

Łatwo się jednak mówi, trudno się robi. „Został pisarzem“... Przecież szkoły we wsi nie było, a pisać umiał tylko karczmarz i organista. Z czytaniem jeszcze tam jakoś poszło. Magryś już jako dziecko był tkaczem, ciężko zarabiającym na chleb, w kurzu paździorów, ale przecież w kradzionych od pracy chwilach — nauczył się od matki składania liter. Z pisanem było gorzej. Nie bardzo nawet wiedział Magryś, jakim to właściwie narzędziem się pisze i skąd je zdobyć. Pewnego razu zdradził mu wreszcie organista, że pisze się piórem gęsim. Zaczynają się wzruszające zabiegi o to narzędzie milczącej mowy, a zarazem piętrzą się trudności: a to gęsi nie ma w wiosce, to znowu zdobyte z trudem pióro nie chce pisać, bo jest źle zacięte, to trzeba samemu robić atrament, który się nie odrazu udaje. Pokonuje to wszystko Magryś i zaczyna przerysowy-

wać drukowane litery z książki do nabożeństwa. To jest jego pierwsze pismo. Później dopiero dostaje do rąk jakiś papier urzędowy i z niego uczy się liter pisanych. Zupełnie zaś samodzielnie „odkrywa“ zasady dodawania i odejmowania liczb. To mu otwiera drogę do urzędu pisarza gminnego, który pełni kilkadziesiąt lat. A pierwszą jego czynnością, warunkiem nawet, który powstał — jest przeniesienie kancelarii gminnej z karczmy do pustej izby w organistówce. Tam też, a nie w karczmie, odbyły się, po raz pierwszy w historii wsi wybory gminne.

Odtąd Magryś nie ustaje w pracy społecznej, choć jego życie prywatne jest piekłem u boku chorej umysłowo żony, którą znosić musi przez lat kilkadziesiąt. Ciężkie to życie i twardy człowiek.

Wczytując się ostatnio w trzy życiorysy własne chłopów¹⁾ (wszystkich pochodzących

¹⁾ Napisane jeszcze przed wydaniem zbiorowym „Pamiętników“.

z tutejszych stron) nigdzie nie znalazłem tyle prawdziwej wielkości i mądrości życiowej, co w autobiografii Magrysia. Jan Słomka, wójt dzikowski, daje kopalnię szczegółów obyczajowych, ale nie wzrusza nas niczym. F. Kuraś, poeta ludowy, pobudza do litości nad sobą, ale nie porywa. Z jednym Magrysiem możemy współczuć i towarzyszyć mu w jego wędrówce i walce. I tylko Magryś zdołał wychować obok siebie zespół młodych pomocników, którzy nie dali upaść jego dziełu.

I tym właśnie różni się Handzlówka od sąsiedniej Albigowej. W Albigowej był — podobnie, jak w Liskowie — energiczny ksiądz, na którym stała cała praca społeczna. Ale gdy filar ten, ks. Krakowski, umarł, wszystko runęło, jak ongi w Nałęczowie. Handzlówka zaś — to Lisków ulepszony, wyrastający od dołu, z korzenia samej wsi. Był i tam dzielny ksiądz (Tyczyński), ale przede wszystkim był Magryś, był poseł Jan

Sobek, był Jan Lenar i Józef Pelc, a obecnie są bracia Rajzerowie, Szpunar, wójt — Antoni Kisała i inni.

Przyszedłem do przekonania, że warto zobaczyć obie te wsie, porównać i — nauczyć się czegoś.

Albigowa jest bliżej. Jedziemy do niej przez Łańcut, dawniej burzliwą siedzibę Diabła Stadnickiego, a dziś — reprezentacyjny salon polskiej dyplomacji.

Albigowa ma dwa obiekty, godne zwiedzenia: produkt dawnej kultury szlacheckiej — stajnię rasową i owoc nowej kultury ludowej — spółdzielnię mleczarską.

Rządca rasowej stajni z pobłażliwą niechęcią mówi o Albigowej i wsiach okolicznych, że „nie mają serca do koni i tylko za krowim ogonem gonią“.

Sam jestem koniarzem i kawalerzystą. Mógłbym go zrozumieć i mógłbym się zachwycić wspaniałymi Anglikami, lśniącymi w ciemnawych klatkach. A przecież czegoś

mi wstyd w tych stajniach, wspanialszych, niż wszystkie mieszkania wiejskie, jakie widziałem. Żał by mi wprowadzić było, gdyby zniknęło to piękno, wpisane w stalowe nogi i wygięte karki. Ale myśli się niepewnie: czy nas już na to stać?

Oglądamy jeszcze olbrzymie okólniki przeznaczone dla matek i młodzieży. Potem chodzimy w wieńcu ciekawskich żrebacków i jakoś mimo woli schodzimy na wspomnienia wojenne.

Pewnie, pewnie, długo jeszcze będzie nam potrzebny dobry koń. Może już nie taki okropny folblut, który zarabia 500 zł za każde pokrycie klaczy, ale bądź co bądź... Pytam o „remont“ i słyszę, że stajnia dostarcza co roku zaledwie kilka koni dla wojska. No, tak! O ile wiem, Żrebięciarnia Powiatowa, zbierająca chłopskie konie, zasila wojsko znacznie obficie.

Pan rządca zaczyna jakiś fachowy wykład o poprawie rasy, ale na folwark wjeż-

dża nagle długa limuzyna z „zamku“ i pan rządcą idzie do niej prędko naprzelaj. Ostatni obrazek, jaki wywożę stamtąd pod powiekami, to — dwaj chłopcy wiejscy ubrani w mocno brudne, a nieco błazeńskie kurteczki i czapki z pomponikami: dżokeje.

Bez żadnego przejścia, ujechawszy tylko nie cały kilometr, zwiedzamy spółdzielnię mleczarską we wsi Albigowej, sklepik Kółka Rolniczego, Świetlicę i Szkołę Gospodyń Wiejskich. Zwiedzamy — przyznam się — trochę po łebkach: ciągnie nas do Handzlówki. Wiemy, że Albigowa dźwiga się po okresie upadku, ale wiemy też, że do niedawna była tylko filią mleczarni handzłowskiej, choć wcześniej od niej powstała. Bawi nas trochę wyraźna rywalizacja i zazdrość ze strony Albigowej: „bo tym Handzłowiakom już się naprawdę wydaje“... mówią nam kwaśno.

Trochę dłużej zatrzymujemy się tylko w Szkole Gospodyń Wiejskich. Zatrzymują nas

tam wspaniałe hafty na rańtuchach, poduszkach, serwetach i zakładkach. Czerwone i czarne „jodelki“, „opłotki“ i „zygzaki“ układają się z niezwykłym smakiem we wzory godne najpiękniejszych wnętrz. To Szkoła wydobyła je ze starych skrzyń i sąsieków, odtworzyła ze spłowiałych strzępów i teraz słusznie się szczyci nimi.

Do Handzlówki nie możemy z początku trafić. Jeździmy po szosie to w jedną, to w drugą stronę i — jak się okazuje — mijamy ciągle jakąś niewidoczną drogę boczną. Znajdujemy nawet drogowskaz z czterema rękami wskazującymi wszystkie strony świata, ale napisów na nich — dla pewności — nie ma.

Wjeżdżamy wreszcie w wąską drogę gruntową i — kołując trochę — zjeżdżamy wreszcie ostro w dół. Mocno zagubiona jest ta Handzlówka. Leży sobie trochę w jarze, trochę na zboczach i pagórkach, dosyć ściśnięta w środku, a rozpierzchnięta mocno

na skrajach. Na oko — nie nadzwyczajnego. Nawet serce wsi, owa spółdzielcza mleczarnia, na której wszystko tu stoi, wygląda niepokąźnie i skromnie. Budynki spółdzielcze cisną się na małym kawałku ziemi gminnej, prawie włożą na siebie.

Zajeżdżamy przed wysoki, cementowy podjazd, na którym stoją rzędem błyszczące bańki od mleka. Pakujemy się naprzód w sam środek mlecznych potopów, między jakieś kadzie, beczki i wirówki, dopóki nie natrafiamy na kierownika mleczarni w białym kitlu, który nas prowadzi do kancelarii.

Trafiliśmy dobrze: zastajemy kilku młodych ludzi, stanowiących cały sztab Handzlówki. W małym pokoju przedzielonym barierą ledwie się mieszczą trzy stoły. W dwóch przeciwległych rogach stoją dwie kasy pancerne. W tym małym pokoiku, na tych trzech stołach, koncentruje się cała siła tej spółdzielczej wsi. To skupienie nie jest zresztą wcale przypadkowe: ono właśnie sta-

nowi oryginalność metody handzłowskiej. Przypomina ona jakiś Clearing House — Izbę Rozrachunkową, prowadzącą gospodarkę prawie bezpienną, posługującą się tylko przelewami kwot z konta na konto.

Nie odrazu to wszystko chwytny. Młodzi kierownicy instytucji muszą nam wyklądać popularnie i na przykładach. I kto wie, czy sam ten wykład nie jest dla mnie ważniejszy i ciekawszy od zdobyczy gospodarczych, od cyfr i sum.

Bo od pierwszych słów chwytny się na naiwnym zdziwieniu, że mówią do mnie kulturalnym, inteligentnym językiem, że na nic się nie silą, że znają treść i wagę każdego słowa. Z każdego zdania widać, że mowa ta ściśle przylega do ich myśli, że stanowi zupełnie opanowane narzędzie planów i ocen. Pytam ostrożnie o ich wykształcenie. Bez cienia zakłopotania przyznają się tylko do szkoły powszechnej i — samouctwa. Poza tym mają kursy specjalne: spółdzielcze,

mleczarskie, ogrodnicze i buchalteryjne. Trudno uwierzyć, że jest to wieś, która życiem jednego tylko pokolenia oddzielona jest od nocy pańszczyźnianej. Że jej budzi-
ciel — Magryś, urodził się w tragicznym roku 1846. Słucham i obserwuję jakby dwoma torami. Notuję jakieś fantastyczne liczby litrów mleka i kilogramów sera, tysiące i dziesiątki tysięcy złotych, a zarazem wpatruję się w spokojne i wesołe oczy tych młodych chłopców. Nie ma w tych oczach żadnych mgieł ani mroków. Pytania chwytają szybko, odpowiedzi mają gotowe, przekazują mnie sobie wzajemnie grzecznie i rzeczowo: „o tym objaśni pana kierownik Kasy Stefczyka“, „to będzie najlepiej wiedział nasz buchalter“.

Informują mnie, że jest broszurka o Handzlówce. Autor? Oto ten młody człowiek w podniszczonym ubraniu roboczym i długich butach—pan Józef Rajzer. Uśmiecha się nieco dziecinnie i przeprasza, że nie

może mi ofiarować broszury, ale zabrakło mu już autorskich egzemplarzy; podaje mi adres wydawcy — Związku Spółdzielni Rolniczych.

Tymczasem już ktoś inny podsuwa mi sprawnie zestawiony bilans roczny mleczarni: „może to się panu przyda“.

Trzeba więc wreszcie zwrócić uwagę na cyfry, które są przecież termometrem ich pracy. Zaczynam słuchać uważniej i pilniej notować. A więc wieś ma grunta nie najlepsze, a pastwisk nie ma prawie wcale. Sieją rośliny pastewne, a nawet kupują siano. Mimo to cała wieś, trzy i pół setki gospodarzy, należy do spółdzielni i hoduje krowy. Opłaca się to nawet takim biedakom, którzy z własnego gruntu nie utrzymaliby jednej krowiny. Ale co najdziwniejsza, że w tej wsi nikt nie płaci za nic pieniędzmi, tylko mlekiem. Toteż spółdzielnia jest zarazem kasą, pokrywającą wszelkie należności członków. Płaci za nich w Kasie Stefczyka i sklepie

Kółka Rolniczego, uiszcza należność za nawozy sztuczne, nasiona i węgiel, sprowadzane hurtownie, a nawet wnosi za całą wieś odrazu wszelkie podatki. Rolnik nie czuje nawet, kiedy to wszystko zwraca mleczarni w postaci mleka. Skoro zaś gospodarz nie ma żadnych należności, otrzymuje miesięcznie za mleko od kilkudziesięciu do dwustu złotych miesięcznie.

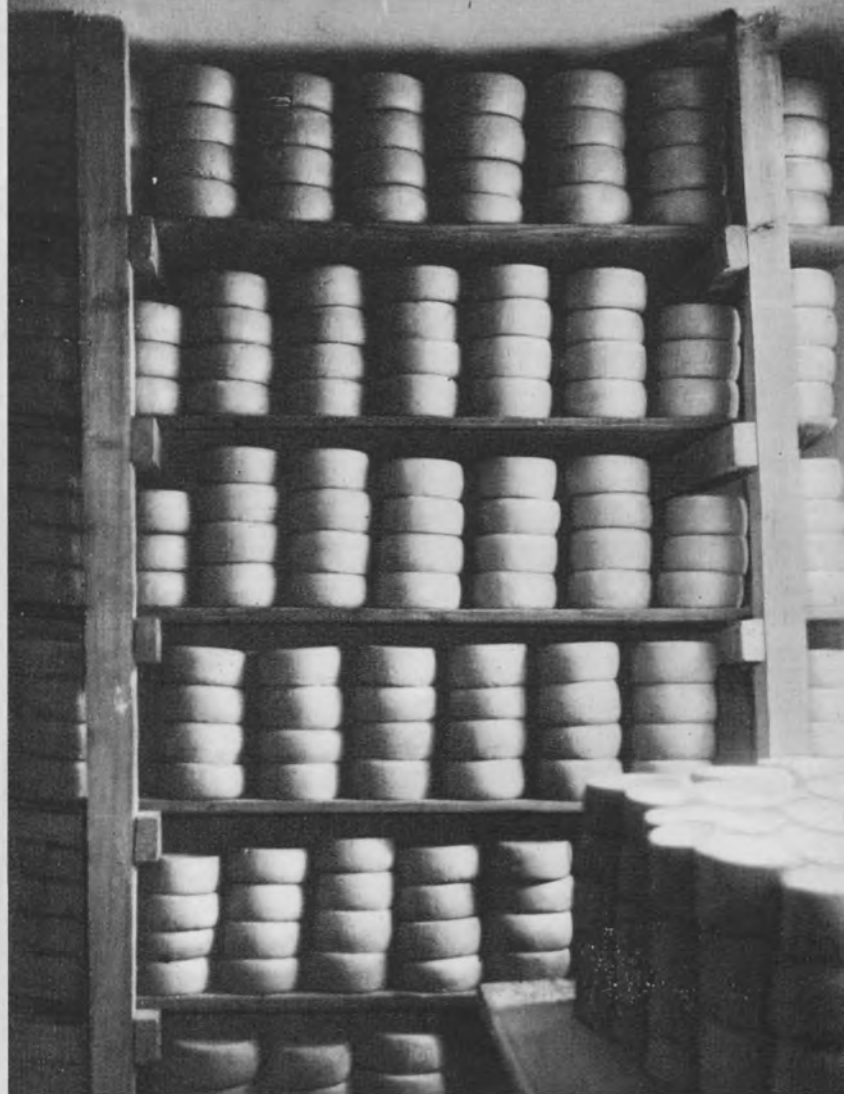
Bydło — to główne bogactwo Handzlówki jest przy tym ubezpieczone i kiedy sztuka padnie — właściciel otrzymuje pełne odszkodowanie.

Mówią mi potem Handzlowianie o rozwoju swoich instytucji. Mało, że rozwijały się one świetnie, ale jeszcze zdołały odrodzić się po ciosach, jakie im zadała inflacja i dewaluacja. Tu Handzlowianie zasypują mnie wodospadem cyfr, z których wyławiam tylko kilka najważniejszych. Tak na przykład: Kasa Stefczyka w 1924 r. miała skutek zwaloryzowania marek — aż... 69

groszy. Obecnie ma około 200 tysięcy złotych obrotu rocznego. Sklepiak ma 80 tys. obrotu. W 1930 roku do mleczarni dostarczono 500 tysięcy litrów mleka, obecnie — milion trzysta tysięcy. W 1930 roku udziały mleczarni wynosiły 9 tysięcy, dziś wynoszą 21 tysięcy.

Oglądamy potem nowoczesne urządzenia mleczarni, która wytwarza najlepsze gatunki serów tyłżyckich, podziwiamy kadzie, wirówki, maszyny i cały gmach ogrzewany (tak jest!) kaloryferami. Zwiedzamy prawdziwe dziwo na wsi polskiej: zakład kąpielowy, obejmujący łaźnię, natryski i wanny. Oglądamy zasobny we wszelkie produkty sklepiak (ma on i filię, na granicy Albigowej), remizę straży ogniowej i świetlicę, szkołę i nowy kościół, odmalowany niedawno i ozdobiony kosztem 12 tysięcy złotych; oglądamy wreszcie wzorowe gospodarstwo Józefa Rajzera.

W rozmowie pada pytanie, jak też dał so-



Suszące się sery w spółdzielni.



Inż. Solarz (kierownik Uniwersytetu w Gaci).

Fot. J. O.

bie pan Rajzer radę z samodzielnym wybudowaniem murowanego domu i wielkiego a racjonalnego budynku gospodarczego. Odpowiedź jest skromna: „napatrzyłem się trochę w Danii, wzorowałem się częściowo na tamtejszych gospodarstwach“.

Ja jednak czaję się jeszcze z jednym pytaniem, na które dotychczas otrzymywałem pełną zakłopotania odpowiedź. Recz w tym, że im szerzej rozwijają swoją działalność spółdzielcze mleczarnie, tym gorzej odżywia się ludność miejscowa: używa tylko odtłuszczonego mleka. Tę odwrotną stronę medalu podejrzewam i w Handzlówce.

Mylę się. Wyjaśniają mi, że do przeróbki serów używają całego dostarczonego mleka. Dostawcy muszą więc zostawić sobie od razu potrzebną dla domu ilość mleka i jest ono pełnowartościowe. A w niedzielę i święta wogóle mleka nie przyjmują.

Na odjezdnym mówimy jeszcze o planach i zamiarach Handzlówki. Mają więc zamiar

zbudować przetwórnię owoców i win, jako że drugą po mleczarstwie dumą Handzlówki są wzorowe sady. Planują wybudowanie wielkiej obory spółdzielczej dla rasowych cieląt, które będą potem sprzedawane członkom spółdzielni na raty. Projektowana jest również spółdzielcza piekarnia chleba dla całej wsi, a nawet spółdzielczy młyn. Przy zakładzie kąpielowym powstać ma pralnia mechaniczna, a dla uchronienia się od drogiego pośrednictwa przy sprzedaży i zakupie mięsa — rzeźnia spółdzielcza.

I to jeszcze nie wszystko: Handzlówka dusi się w ciasnocie swoich małych gospodarstw i oczekuje niecierpliwie, a dotychczas napróżno na realizację reformy rolnej. Wobec tego postanowili poradzić sobie sami i założyć — „filię“ Handzlówki. Wysłali nawet delegatów na poszukiwanie odpowiednich terenów. Byli gdzieś pod Rawą Ruską, ale gleba tamtejsza nie odpowia-

dała im: nie nadawała się na sady, do których są już przyzwyczajeni.

Ostatnie jeszcze pytanie zadaje Handzłowianom. Wiem, że trudno jest na nie odpowiedzieć. Zbyt łatwo chciałbym zdobyć tajemnicę, za którą ludzie płacą całym życiem. Pytam jednak: „Czemu panowie przypisują taki rozwój i powodzenie pracy społecznej w waszej wsi?”

— Czy ja wiem? — odpowiada mi któryś z nich. — Chyba temu, że znalazło się paru ludzi dobrej i silnej woli...

— Tylko?

— No i może dzięki temu, że od powstania naszych organizacyj, to znaczy od kilkunastu lat, nie było najmniejszego nadużycia ani defraudacji. Ludzie mają zaufanie.

Słucham tych słów z mimowolnym zawstydzeniem. Nie wiem, czy Handzłowianie znają historię spółdzielni rzeszowskich pro-

wadzonych przez inteligentów. Sprawa tych spółdzielni właśnie obecnie znajduje się w rękach sądu, a w społeczeństwie rzeszowskim kursuje moc najsprzecznějších pogłosek, zarzutów i zaprzeczeń. Tak czy o-
wak, faktem jest, że kierownicy owych spółdzielni są zamożnymi ludźmi, a spółdzielnie straciły kilkaset tysięcy złotych. Upadły: spółdzielnia „Gospodarz“, „Bank Ziemi Rzeszowskiej“, „Dom Ludowy im. pułk. Lisa-Kuli“, spółdzielnia „Jajczarnia“, „Hotel Udziałowy“, „Drukarnia Udziałowa“ i spółdzielcza odlewnia żelaza „Kuźnica“.

Trudno będzie teraz spółdzielni „Społem“, która założyła niedawno swoją placówkę w Rzeszowie, odrobić tam ruch spółdzielczy.

Żegnam się z Handzlówiakami i wyjeżdżam z tej wsi z uczuciem głębokiej pokory. Nasza inteligencka, pobłażliwa „praca nad ludem“ wydałaby się w tej wsi prawie groteskowa. Obyśmy bodaj umieli pomóc im,

zrozumieć ich samorzutną inicjatywę i —
kto wie, czy nie uczyć się od nich.

Czy to umiemy — wątpię.

*

*

*

W powrotnej drodze zajeżdżamy jeszcze
do Markowej.

I tu pierwsze wrażenie zawodzi. Wieś
wprawdzie ogromna i szeroko rozsiadła, ale
po budynkach nie widać zamożności ani
tym bardziej zbytku. A jednak tu właśnie jest
pierwsza w Polsce Spółdzielnia Zdrowia.
Jest to pierwsza wieś, mająca własnego le-
karza. Rozmawiam z jednym z głównych
inicjatorów tego niesłychanego u nas przed-
sięwzięcia. Padają krótkie pytania i odpo-
wiedzi. Notuję daty, zapisuję historię zało-
żenia spółdzielni od trudności początko-
wych (władze administracyjne utrud-
niały założenie jej!), aż do ogłoszenia
przez wieś konkursu na posadę lekarza. Za-
pewnili wcale niezłe dochody, bo około 300

złotych miesięcznie, oprócz mieszkania i światła. Jest też osobny domek, gdzie doktor ma ordynować. Przeciętna liczba pacjentów dziennie — około dwunastu.

— No i co? — pytam niepotrzebnie uśmiechnięty na kredyt.—Dostali pewno panowie dzielnego lekarza? Zrobił we wsi dużo?...

Dwaj gospodarze, z którymi rozmawiam, spoglądają na siebie niepewnie i mruczą po chwili, że właśnie lekarz ich zawiódł. „Nie umiał jakoś dogadać się z wsią“ — powiadają mi. Miał prowadzić pogadanki o higienie i zarzucił je, mimo dużego zainteresowania ze strony wsi. Nie zajmował się pacjentami, jak należy. A zresztą — chciał jak najprędzej uciec ze wsi do miasta, ryzykując nawet bezrobocie. Wieś wymówiła mu posadę.

— I cóż teraz? — pytam.

— A no, niedługo ma przyjść młody doktor, syn gospodarza z naszej wsi — odpo-

wiadają mi. — Już my tak najlepiej: sami sobie...

Czuję gorycz tych słów, ale buntuję się przeciw ich treści: za wiele jest pracy na wsi, a za mało jeszcze kadry pracowników. I za bardzo zależy, zależeć musi, całemu narodowi na tym, co się ze wsią dzieje.

A któż pierwszy rzucił pomysł tej spółdzielni? — pytam na chybił-trafił. Okazuje się, że zasadniczo pomysł wyszedł od tutejszych gospodarzy, ale doradzał im inżynier Solarz z Gaci.

— A więc jednak! — powiadam z tryumfem.

— No, tak! — odpowiadają mi na to, czego nie dopowiedziałem. — No, tak! Ale on jest zupełnie nasz.

W tym się chyba zawiera cała tajemnica, ale i cała sztuka pracy na wsi.

MASZYNKI KOLBUSZOWSKIE

Kiedy, po przybyciu do Rzeszowa, dopytywałem się o miejscowe osobliwości, wspomniano mi kilkakrotnie o jakichś „maszynkach kolbuszowskich“. Mówiono to z tak chytrym przymrużeniem oka, że zaraz domyśliłem się nie czystej sprawy. Było to typowe nabieranie nowicjusza przez tubylców. Ponieważ nie dałem się nabrać, wyjaśnili mi dobrzy ludzie, o co chodzi. Uspokoiłi mnie naprzód, że ja jeszcze nie potrzebuję kolbuszowskiej maszynki, bo to jest coś dla starszych panów. A wreszcie przyznali się otwarcie, że żadnej takiej maszynki nie ma, że jest to tylko taki sobie regionalny dowcip. Chodzi tu o łyżki, masowo wyrabiane w Kolbuszowej pod Rzeszowem. Pomysł ich

użycia jest w owym dowcipie tak groteskowo trefny, że nie odważę się go tu powtórzyć. Nie w tym zresztą rzecz. Odrazu mi się wydało, że dowcip ten świadczy o resztach jakiegoś dawnego rzemiosła w Kolbuszowej. Bo dla czegoż „kolbuszowskie“ i dla czego „maszynki?“ Tak też było. W Kolbuszowej wyrabiało się dawniej nie tylko łyżki, ale przede wszystkim wyroby tokarskie, które wędrowały po całej monarchii austro-węgierskiej. Były to stołeczki, solniczki, foremki, a przede wszystkim maselnice, od których poszła nazwa maszynek. Co więcej: kiedy zacząłem sprawę tego rzemiosła badać bliżej, dowiedziałem się, że tokarstwo było już rzemiosłem epigonicznym w stosunku do kwitnącego tam dawniej stolarstwa, jak wyrób łyżek — do tokarstwa. Kolbuszowa, położona w samym sercu sandomierskiej puszczy, słynęła kiedyś do tego stopnia z wyrobu mebli, że znano ją w całej Polsce. Mówiło się „praska roboty polskiej

alias kolbuszowskiej“ i zapisywało się z szacunkiem w testamencie owe „praski“, to jest rodzaj biurek, powstałych drogą różnych przemian z pras gospodarskich czy magli.

Meble te były w takiej estymie, że usiłowano je podrabiać za granicą i podawać za kolbuszowskie, na co się majstrowie tutejsi słusznie oburzali. Wyglądały rzeczywiście pięknie i nie byłem wcale zdziwiony, że Stefan Sienicki poświęcił im całą, przepięknie wydaną monografię, z barwnymi ilustracjami. Są to jasne meble w stylu szlacheckiego baroku, bardzo solidne w konstrukcji, a zarazem dość wysmukłe. Jako drzewo brano najchętniej orzech i brzość (także gruszę i śliwinę), a ozdabiano je czarnym dębem w subtelne, roślinne wzory. Dziś meble te można znaleźć tylko w muzeach (np. Czartoryskich w Krakowie) lub — bardzo nieliczne już egzemplarze — w pałacach okolicznych notablów, jak Tyszkiewicza w Weryni lub Tarnowskich w Dzikowie. Wyrabiano w

Kolbuszowej szafy, bufety, praski, „pultynki“, fotele, sepety i — (bardzo nowocześnie) — tapczany. Ceny były dość wysokie, choć dla naszego ucha brzmią skromnie. Tak na przykład tapczan dwuosobowy kosztował — około 3 złp.

Rzemiosło to, tak świetnie kwitnące, znikło obecnie bez śladu. Złożył się na to szereg przyczyn. Przede wszystkim rozpowszechnienie modernistej tandety wiedeńskiej, okropnej, ale tańszej oczywiście od szlacheckich mebli polskich. Poza tym rząd austriacki starał się tak układać taryfy kolejowe, aby towary wiedeńskie były uprzywilejowane. A wreszcie dobito meblarstwo kolbuszowskie pominięciem w budowanej sieci kolejowej, a więc odcięciem od rynków zbytu i to w czasie, gdy kolej właśnie zbliżała najodleglejsze punkty

Ubiegłego lata, kiedy myszkowałem po Kolbuszowej, poszukując starych mebli lub przynajmniej stolarzy, którzy dawną tech-

nikę znali, powiedział mi jeden stary tokarz: Kto się teraz o takie meble pyta? Dla kogo warto dziś takie rzeczy robić? W rezultacie zdobyłem tylko skrzyneczkę z piękną intarsją, którą zresztą pewien przyjaciel z Warszawy (nie wymawiając!) ode mnie wycygał.

Po meblarstwie zacząłem poszukiwać innych dawnych rzemiosł w tych stronach. W pierwszym rzędzie myślałem, że uda się znaleźć jakiś ślad po konwisarstwie i ludwisarstwie ze „złota rzeszowskiego“, które słynęło nie tylko w Polsce, ale nawet w głębokiej Rosji. Mimo taniego składu tego stopu (był to rodzaj tombaku) nie musiały to być rzeczy tandetne, skoro Al. Fredro opisując w swoich wspomnieniach („Trzy po trzy“) typ złotego młodzieńca galicyjskiego, mówi: „przy dewizce breloczki ze złota rzeszowskiego“. Musieli tu więc być zdolni jubilerzy, grawerzy i rzeźbiarze, których kunsztowna robota była ceniona bardziej, niż

tani materiał. Niestety nie zostało po nich również ani śladu. Nie ma także znaku po najstarszym w Rzeszowie cechu tkackim, o którym wspomina prof. Jan Pęckowski w swoich źródłowych „Dziejach miasta Rzeszowa“. (Przywilej jego wydała w 1439 r. Małgorzata z Rzeszowskich Mościcka). Cech garncarski, również jeden z najstarszych, ledwie wegetuje w okolicy Sokołowa, popadając coraz bardziej w zależność od drobnych kapitalistów żydowskich, na zamówienie których przeważnie pracuje.

W ogóle rzemieślników, posiadających większe warsztaty, jest w Rzeszowie i okolicznych miasteczkach bardzo nie wielu. Większość z nich utrzymuje się na poziomie łataczy, pracowników dorywczych lub pracujących na cudzy rachunek. W niektórych zawodach nie ma w ogóle rzemieślników polskich, że wymienię tylko kuśnierstwo, zegarmistrzostwo lub rymarstwo.

Obawiam się, że obraz rzemiosła rzeszow-

skiego, który przedstawia prof. Pęckowski, wygląda lepiej, niż stan obecny. Jest to więc dość piękna tradycja, aby znalazły się w Rzeszowie ambicje do jej wskrzeszenia. Toć przecie w wieku XVIII mamy tu jedenaście cechów, a że niektóre z nich były „zjednoczone“ — daje to w sumie 40 różnych rzemiosł. Tak np. do cechu kowalskiego należały zawody: kowalski, sykterski, ślusarski, mieczowniczy (płatnerski), kotlarski, złotniczy, kołodziejski, hafciarski, igielniczy, blacharski, konwisarski i zegarmistrzowski.

Poza tym byli tu garncarze, mularze, bednarze, rymarze, tokarze, siodlarze, błoniarze (szklarze), malarze, szewcy, krawcy, czapnicy, cyrulicy, kuśnierze, rzeźnicy, piekarze, rybacy i piwowarzy.

Robota ich była solidna, bo znajdowała się stale pod nadzorem całego cechu, a „partaczy“ mieli prawo — na podstawie przywilejów pańskich — ścigać i karać. W ogóle rzemiosło pod nadzorem cechów nie było tak

nieudolną instytucją, jak lubimy to sobie dziś wyobrażać. Stosowało ono pewne zasady i dziś jeszcze obowiązujące w tzw. wolnych zawodach, a więc u lekarzy i adwokatów. Nie wolno było odciągać sobie wzajemnie klienteli, ganić cudzej roboty, ani „przywoływać do siebie“. (Cyrulik, który odmówił koledze pacjenta, płacił 5 funtów wosku na rzecz bractwa, 5 grzywien do skarbu pańskiego, a ponadto musiał zwrócić koledze pacjenta). Obowiązywały też w cechach dwie ważne zasady, które chyba i dziś chętnie byśmy widzieli u rzemieśników: wykonywanie roboty ściśle na termin i trzeźwość w dzień powszedni przy pracy. Zresztą przewodawcy cechowi nie byli sadystami i mieli wyrozumienie dla ułomnej natury ludzkiej. Ponieważ zaś każdy nowo przyjęty do cechu, wyzwolony na czeladnika lub majstra, a także ukarany wyrokiem brackiego sądu musiał fundować piwo — trzebaż się było od czasu do czasu zebrać, żeby to piwo wy-

pić i z kancelarii brackiej nie robić składu piwa. Zbierali się więc biedaki i... urzędowali, egzekwując owe kary i opłaty. Zastrzegali się tylko wyraźnie, (co dziś nie wszystkie zawody obserwują), że „poniedziałki do dni wolnych od uprawiania swego rzemiosła nie należą“. Trzeba jednak przypuszczać, że niedziele były wypełnione sumiennie, bo kary płacone w piwie były dość ostre: za zbyt swobodne wyrażanie się o ustawach cechowych i starszyźnie płacono się beczkę piwa, za obrazę brata cechowego pół beczki, za nietrzeźwość w sklepie—ćwierć beczki, a nawet (co już uznać należy za rodzaj szykany) za trwanie w stanie bezzennym mistrz musiał płacić konew piwa.

Oprócz przepisów ściśle zawodowych bracia cechowi byli związani obowiązkami moralnymi, jak pomoc w podróży i w chorobie, a także opieka nad wdowami i sierotami po mistrzach. Było to zatem coś więcej, niż dzi-

siejsze kasy chorych i związki zawodowe razem.

Wreszcie na rzemieślnikach leżała w pierwszym rzędzie odpowiedzialność za obronę miasta. Toteż kandydaci na majstrów i czeladników muszą się wykazywać „dobrym muszkietem i szablą“, a nadto „fundować proch do hakownicy cechowej“. Każdy cech ma swój plac ćwiczeń i odcinek murów wraz z basztą — do obrony. Przysposobienie wojskowe jest więc realizowane dokładnie.

Ciekawy jest udział żydów w tym okresie istnienia rzemiosła w Rzeszowie. Żydów-rzemieślników jest stosunkowo mało, chętniej zajmują się handlem. Najwięcej jest złotników i krawców.

O ile można się zorientować, walk właściwych na tle narodowościowym nie było wówczas w Rzeszowie, a wystąpienia przeciw żydom wynikały raczej z dążności do utrzymania w czystości przepisów cecho-

wych i solidności produkcji. Bo też o poziom swoich rzemiosł dbali Rzeszowiacy bardzo. Przejawia się to m. in. w wymaganiach stawianych czeladnikom przy wyzwolinach na majstra. Każdy z nich winien był wykonać „sztukę“, czyli tzw. z niemiecka „majstersztyk“, który był ściśle określony przepisami i czasem wykonania. Tak np. kowal winien był zrobić bardzo kunsztowne widły „o trzech sękach“. Do wykonania wideł wyznaczano godzin osiemnaście i to od pierwszej po północy do szóstej po południu. Jeszcze większej zręczności wymagano od rymarza, który powinien był „rzemień, pergamin alias surowiec na gołym kolanie swoim pokrajać, którego rzemienia aby było czterdzieści łokci wzdłuż i aby kolana nie rozkrwawił“. Oprócz tego miał zrobić „półszorek z mosiądzem“ na obie strony jednakowy. Konwisarz miał „mise i konewkę cynową bez formy ulać“; tokarz „szachy alias warcaby“ zrobić oraz „szkatułę na korze-

nie, w której tuzin talerzy misternie powinno się zmieścić“; szewc — parę butów i trzewików niemieckich; a krawiec suknię kapłańską „nie brawszy miary, na siebie samego skroić i zrobić“.

Wszystkie te piękne tradycje znikły, a rzemiosła podupadły. Upadek ten spowodowany był zarówno błędną polityką panów miasta, jak konkurencją tandety rzemieślniczej i fabrycznej, oraz austriacką polityką podatkową i taryfową.

Jednak kwitnący okres rzemiosła dowodzi, że w przyrodzonych warunkach dzielnicy, zasobie surowców i zdolnościach mieszczańców były podstawy do rozwoju tej dziedziny bogactwa narodowego.

Dziś o rzemiośle mówi się mało. Chętniej i głośniej mówi się o przemyśle. Sądzę, że nie mylił się pewien działacz gospodarczy, który mi powiedział, że w dziedzinie gospodarczej rzadko kiedy panuje w Polsce racja, natomiast bardzo często, a z bardzo za-

łosnym skutkiem — m o d a. Tak! W ekonomice są również mody, jak w dziedzinie ubiorów i melodyj. Obecnie, od dłuższego już czasu, nie modne jest rzemiosło, a bardzo modny przemysł. Dopatrujemy się w nim zbawienia, zapominając, że do uruchomienia go trzeba większych kapitałów, że łatwiej ulega kryzysom, że wywołuje więcej fermentów socjalnych i rozproszkowania społecznego rodzin, że łatwiejszy jest do zniszczenia w razie działań wojennych, że obecnie wymaga nieraz nie mniejszych, lecz większych kwalifikacyj od robotników, a wreszcie — co nie jest wcale najbliższe — nie daje okazji do wyżycia się w samodzielnej i twórczej pracy.

Podświadomie przyjęliśmy doktrynę Marksa o koncentracji warsztatów pracy i wydaje nam się, że przemysł to przyszłość, a rzemiosło to więdnąca przeszłość. Zapominamy, że doktryna ta nie zdała bynajmniej egzaminu życiowego. Zaprzeczyła jej choć-

by wieś przez wyraźną skłonność do dekoncentracji warsztatu rolnego — ziemi¹⁾. Ale nawet sam przemysł stwarza nowe rzemiosła, że wspomnę tylko o zawodzie mechanika radiowego, samochodowego i samolotowego. Jeżeli zaś chodzi o wchłanianie nadmiaru rąk roboczych ze wsi przez miasto, to — być może — łatwiej jest zorganizować to przez rzemiosło, niż przemysł. Dobrze rozplanowana sieć szkół rzemieślniczych, racjonalnie zorganizowane rozprowadzenie taniego kredytu i ułatwienie zbiorowego zbytu stworzyłyby pewniej i może prędzej polską warstwę średnią w miastach, niż parcie za wszelką cenę do rozwoju przemysłu. Kredyt rozdzielany indywidualnie chętniej byłby spłacany przez małego posiadacza, mającego nadzieję zdobycia własnego warsztatu, niż przez wielki przemysł, jakże

¹⁾ Nie zawsze intensywna gospodarka jest najbardziej opłacalna. Ekstensywnie gospodarująca Litwa ma najwyższą rentę gruntową w Europie.

często spekulacyjny, a zawsze zbyt kosztowny na naszą ubogą kieszeń państwową. Pamiętamy wszyscy, ile pieniędzy utopiono w przemyśle w pierwszych latach istnienia państwa polskiego. Gdyby rozwój Centralnego Okręgu Przemysłowego obniżył koszt energii mechanicznej i zastąpił prymitywny nieraz napęd warsztatów na elektryczny, rzemiosło tutejsze mogłoby wejść ponownie w okres rozkwitu. Że zaś rzemieślnik polski wykazuje wiele smaku (dowodem — przemysł ludowy oraz drobny przemysł konfekcyjny i szewski Warszawy) — towar wytworzony przez rzemiosło mógłby stawać do śmiałych konkurencji nawet z wyrobami przemysłu. (Pomijamy tu oczywiście przemysł związany z obroną kraju).

Kto wie także, czy warsztat polski nie byłby racjonalniejszym wyjściem, niż remedium dziś tak krzykliwie propagowane i (znowu!) modne: polski stragan. Polski stragan musi kupować w żydowskiej hurtowni, która mo-

że mu dyktować wyższe ceny, niż straganowi żydowskiemu i unieszkodliwić z miejsca groźbę konkurencji nowicjusza na rynku. Jeśli więc chodzi o handel prywatny, to raczej już polska hurtownia, niż polski stragan. Ale jest też i inna rozbieżność. Zjawia się pytanie: polski stragan czy polska spółdzielnia. Uniknięcie lub przynajmniej ograniczenie pośrednictwa kupieckiego, przeniesienie jego zysków na konsumenta i wreszcie regulowanie produkcji przez zapotrzebowanie konsumenta — to zbyt ważne zdobycze, aby społeczeństwo się ich wyrzekło. Nie stworzyliśmy w swoim czasie warstwy kupieckiej i to było złe, ale czy jest na to pora dzisiaj i czy da to zadowalające rezultaty, można wątpić. Nie ma więc chyba celu powoływanie do życia tego, co zacznie się wkrótce kurczyć. Mniej groźną zaś, przynajmniej w naszym kraju i w naszych warunkach finansowych, jest konkurencja przemysłu dla rzemiosła.

Z tymi myślami robię wyprawę na Rzeszów i przeprowadzam — och, bardzo nieoficjalną i zapewne niedokładną — ankietę wśród rzemieśników. Ankietę błyskawiczną i telegraficzną.

Fryzjer jest pewny siebie:

— Nam przemysł nie zaszkodzi. Żyłki? No, tak. Ale wielu panów im nie dowierza. Zresztą pozostaje nam zawsze jeszcze strzyżenie i... główki pań, które dawniej czesały się w domu.

Krawiec także nie obawia się przemysłu:

— Lepszy gość, proszę ja pana, nigdy gotowego sobie nie kupi. A jak na wsi się poprawi to i chłop się przekona, że tanie ubranie jest za drogie dla biednego człowieka.

Szewc skarży się na Bat'ę i wdaje się nawet w krótką dyskusję polityczną:

— Żeby tak tym Pepiczkom rząd u nas pozwalał się panoszyć! Taką tandetę dają, że aż śledziona boli. Żaden but nie będzie taki mocny, jak robiony w ręku. Tylko żeby

zakup skór był w naszych rękach i podatki lżejsze — wytrzymałyśmy.

Stolarz nie wierzy w masowy fabryczny wyrób mebli:

— Każdy człowiek inaczej mieszka, na inne rzeczy ma gust. A jak przyjdzie robić specjalne meble do urzędów i szkół, to już tylko do rzemieślnika i dobrego rzemieślnika. Roboty mam pełne ręce. Tylko wzorów polskich brak. Zagranica przysyła ładne albumy i nawet za darmo, ale nie zawsze pozwolą sprowadzić, albo cłem obłożą. A polskie wzory gorsze i drogie.

Mechanik samochodowy i radiowy odpowiadają mi podobnie:

— Nam właśnie przemysł daje żyć. Same reparacje warsztat utrzymują. A niech się rozwinie motoryzacja i radiofonizacja — będzie jeszcze lepiej.

Zegarmistrz, żyd, cmoka:

— Robić robię, ale już mój syn nie chce

być rzemieśnikiem. Mało kto idzie teraz na rzemieślnika. Każdy myśli o urzędzie.

Grawer, Polak skarży się na brak kredytu:

— Wszystkie roboty grawerskie i złotnicze znam, ale cóż? — potrzebuję narzędzi, towaru trochę... A tu konkurencja duża, a podatki nie dają żyć. Żeby tak kredyt lepszy!...

Kuśnierz jest znowu Izraelita. O koniunkturze nie chce mówić otwarcie. Zbыва mnie sentencjami:

— Jak kto chce pracować, to zawsze na chleb mu wystarczy. Rzemiosło rzemiosłu nie równe. Do naszego fachu trzeba mieć dużo wiadomości. Partacz zepsuje towar i klienta straci. Tego byle kto nie potrafi. Fabryka? Ona wszystkiego nie robi: trzeba każdemu na jego miarę i potrzeby przykroić. Kuśnierz to jeszcze lepiej, jak krawiec.

Także rymarz, a zarazem wytwórca ga-

lanterii skórzanej mówi ostrożnie. Nie chce się chwalić, żeby nie zuroczyć interesu:

— Jakoś idzie. Robię takie same rzeczy, jak fabryczne i robię taniej. Teczki oficerskie, torebki, portmonetki — wszystko taniej. Jak mogę wyjść na swoje? Trzeba kalkulować.

Murarzy nawet nie pytam: wiem, że mają teraz w Rzeszowie moc zajęcia, że pracują na dwie i trzy zmiany, że nie zawsze poniedziałek uważają za dzień, w którym „rzeźmięśło“ swoje uprawiać należy. Toć podobno Leżajsk, który jest miastem kilkuset murarzy, wyludnił się prawie w okresie letnim.

Żyje też jakoś i mistrz malarski — pan Hajdaś, i doskonały szklarz niesłusznie noszący nazwisko Małodobry, i niezupełnie biedny stolarz pan Bidnik, i kaflarz pan Petela, i rzeźnik — pan Leśniak i piekarz — pan Babula. Wszystkich ich znam, widzę, że pracują uczciwie i ciężko, ale nędzy nie cierpią.

Czy jest jeszcze miejsce dla innych rzemieślników w Rzeszowie? Myślę, że tak.

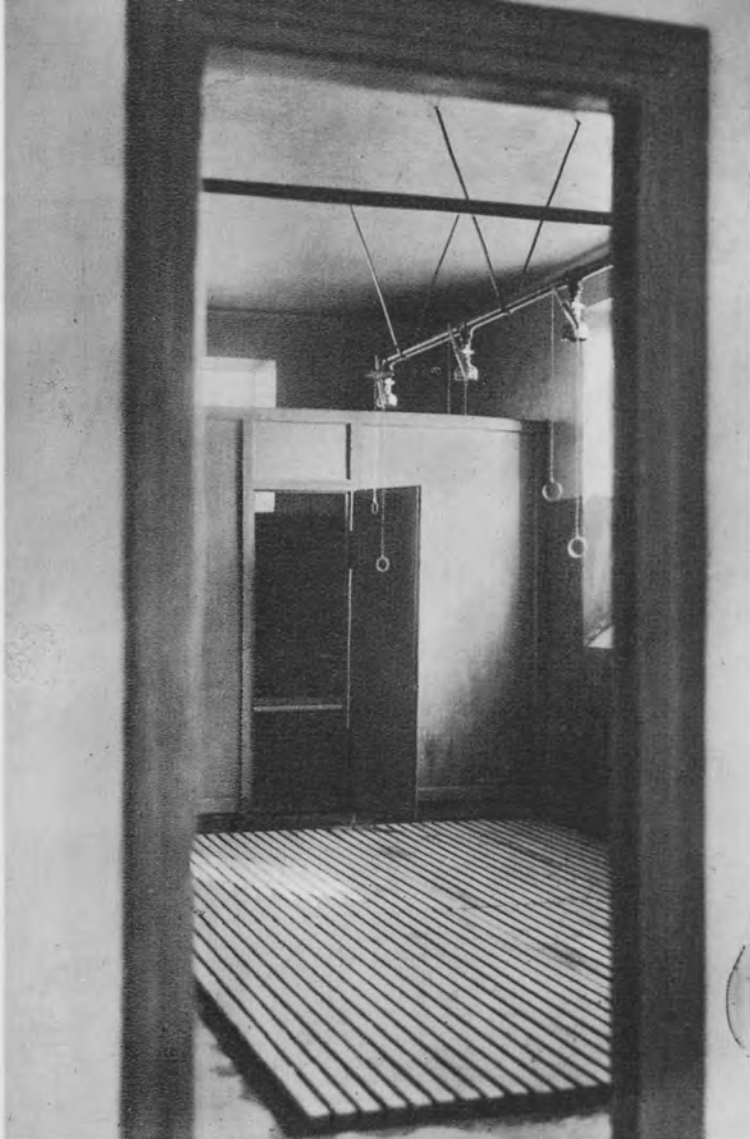
Nie można w końcu nie wspomnieć o najsmutniejszym rzemiośle. Jest to „przemysł” chałupniczy. Pracują ci ludzie w strasznych warunkach, w ciemnych izbach, w zaduchu i są nieludzko, straszliwie wyzyskiwani. Szczególnie „kwitnie” tu guzikarstwo. Za osiem, dziesięć, dwanaście godzin pracy dziennie zarabiają ci ludzie po kilkanaście groszy, a nieraz pracuje na to cała rodzina. Znana to rzecz, że ów fetysz kapitalistów i komunistów—przemysł—lubi po cichu tłuczyć się na najprymitywniejszym rzemiośle, krzycząc zarazem głośno o naukowej organizacji pracy, tajloryzmie i nowoczesnych maszynach. Czyż nie należałoby spojrzeć raczej w oczy prawdzie, dostrzec wreszcie rzemiosło, którego się jakby wstydzimy i obmyśleć racjonalną politykę jego rozwoju? A jeżeli myśli się, a przynajmniej tyle mówi, o zmniejszeniu bezrobocia na wsi, to mo-

że należałoby także zorganizować i rozwinąć na większą skalę przemysł ludowy, nad którym rozczulamy się ludowo i narodowo, ale nie umiemy przyjść mu z pomocą. Nie tylko kilimkarstwo i hafciarstwo, garncarstwo i snycerka, ale zwykle wikliniarstwo może dać chleb wielu wiejskim bezrobotnym. Dowodem tego — wytwórnia koszykarska z Rudnika nad Sanem, która eksportuje aż do Stanów Zjednoczonych. Nie jest ona jednak w rękach polskich.

Na wielkiej konferencji zwołanej do Rzeszowa przez P. Kuratora lwowskiego występowali z bardzo ciekawymi przemówieniami przedstawiciele sfer gospodarczych, członkowie Izb Handlowych, Przemysłowych, Rolniczych i Rzemieślniczych, ale nie usłyszałem niestety jakiegoś wielkiego planu odrodzenia rzemiosła w tutejszym okręgu. Utwierdziłem się jednak w swoich przekonaniach o tej możliwości, słysząc, że wszyscy absolwenci tutejszej Szkoły Rzemiosł



Spółdzielnia mleczarska w Handlówce.



Zakład kąpielowy w Handłówce.

i Szkoły Mleczarskiej znalazł zatrudnienie w stu procentach. Nie ma wśród nich bezrobotnych. Przy ostatnim zaś egzaminie do Szkoły Rzemiosł odrzucono aż 196 kandydatów... z braku miejsc.

Nie chciałbym być pesymistą. Może Centralny Okręg tak rozwinie fabryczny przemysł państwowy i prywatny, i tak się nastawi do materiału ludzkiego, że zdoła wchłonąć nabrzmiałe bezrobocie wiejskie. Ale wydaje mi się, że nawet i w tym wypadku zostanie jeszcze dość miejsca, aby odrodzić kwitnące tu dawniej rzemiosło. Aby po tradycji artystycznego stolarstwa nie został tylko kiepski dowcip.

OCZY W ŁACHMANACH

Pasja kolekcjonerska wyciągnęła mnie pewnego jesiennoego dnia do wioski, gdzie— według mego prywatnego wywiadu — mogłem znaleźć „frasobliwego świętka“. Miał się on znajdować na strychu szkoły, uratowany od całkowitego zniszczenia w zrujnowanej kapliczce.

Jadę do szkoły.

Nauczyciela, do którego mnie skierowano, nie zastaję. W szkole odbywa się remont. Słyszę stuk młotka, zgrzyt piły, a kiedy wchodzę do klasy widzę jakiegoś rzemieślnika, który kituje zawzięcie małe koślawe szybki. Dwóch chłopaczków pomaga mu z zapalem. Na moje pytanie o kierownika szkoły, rzemieślnik peszy się bardzo, wycie-

ra prędko ręce i podaje mi przedramię. To on właśnie jest nauczycielem. Ze swojej pracy tłumaczy się, jak z przestępstwa. A raczej tłumaczy przede mną swoje władze szkolne, wieś i gminę.

— Szkoła jest właściwie mało warta. Budynek stary, od dwudziestu pięciu lat nie remontowany, nic więc dziwnego, że nikt nie chce topić w nim pieniędzy. No, a znowu my tutaj — to znaczy ja i dzieci — wiemy, że musimy wytrzymać w niej przez zimę, więc się trochę zabezpieczamy.

Rozglądam się po klasie. Jest to mała izdebka wiejska, o wymiarach podłogi 4 na 5 metrów najwyżej. Sufit niski, okienka małe, podłoga krzywa, na ścianach i suficie plamy od zacieków. Mimo otwartych okien czuć zaduch mokrego drzewa i bodaj czy nie grzyba.

— Ile ma pan takich klas? — pytam naiwnie.

— Ile? — powtarza ze zdziwieniem nau-

czyciel. — Tę jedną tylko. Jest to przecież jednoklasówka, szkoła tak zwanego I stopnia organizacyjnego. Jestem tu jednocześnie kierownikiem, nauczycielem, a jak trzeba to i... woźnym.

Zaraz jednak spostrzega się, że to, co mówi, ma nalot goryczy i dodaje niby ochoczo:

— No, ale jakoś się żyje! Dajemy sobie radę. Ale pan chciał tego świątka?...

— Dobrze, dobrze! — mruczę do siebie.— Świątek nie ucieknie. Tymczasem widzę tu coś bardziej frasobliwego, niż najbardziej frasobliwy z polskich świętych. A ty mi się, bracie, nie wymkniesz!

Zacząłem tymczasem rozmawiać z chłopczkami. Jeden był trochę nieufny i coraz popatrywał niepewnie na nauczyciela: Gadać z tym ciarachem z miasta, czy nie? Drugi udał mi się lepiej: pociągał fatalistycznie nosem i rzeczowym, gospodarskim tonem objaśniał, jak i co. Mieści się ich tutaj, w tej ciupce 87 sztuk. Czy jest ciasno? Hm, może

trochę ciasno; zwłaszcza przy pisaniu. Ale naogół tak jest lepiej, bo cieplej, a piec grzeje kiepsko.

— Phy! Grzałby, żeby byli drewka — odzywa się nagle drugi.

— Nie grzałby! — bezapelacyjnie oświadcza mój informator.—Wszystko ma w środku przepalone na amen. Sypie się.

Sypie się tu zresztą wszystko: dach, ściany, podłoga, drzewo i wapno. Dach zacieka, bo nie ma rynien, a łatany jest przytem raz koło razu. Aż dziw, jakim cudem trzyma się ta świątynia wiedzy. Chyba rzeczywiście cudem: cudem wytrwałości i poświęcenia tego tu zamorusanego kitem i wapnem — pana kierownika, nauczyciela, „a jak trzeba, to i woźnego“.

Mieszka on w jeszcze mniejszej ciupce, stanowiącej zarazem kuchnię, sypialnię, gabinet, kancelarię i skład pomocy naukowych. Wchodząc tam, widzę arkusz brystolu rozpięty na tablicy i pocięty siatką geo-

graficzną. Poprzez kraty tej siatki, jak przez okno suteryny, wyłania się kontur Europy. Na moje pytające spojrzenie, pan kierownik znowu gęsto się tłumaczy:

— Nie mamy, widzi pan, żadnych map, poza niewielką mapą Polski. A przecież dobrze by było, żeby dzieci zobaczyły Europę: z kim sąsiadujemy, gdzie są jakie morza i tak dalej. Więc powiększam z książki w wolnych chwilach...

O, tak, panie kierowniku! Warto, żeby dzieci zobaczyły Europę. Niech zobaczą ją naprzód na mapie, zanim będą mogły zobaczyć we własnej wsi. Niech pan im otwiera tę tablicę, jak okno w świat.

Na prostym stole leżą jeszcze inne „pomocze“, wyraźnie własnego wyrobu: jakieś liczydła, ruchomy alfabet, kopie obrazków, modele z gliny i prymitywne przyrządy fizyczne z patyków i starych butelek. I pomyśleć, że wielki Komeniusz, już za króla Le-

szczyńskiego, domagał się nauki „poglądowej“!...

Tak się złożyło, że nie mogłem tego samego dnia wyjechać i zostaję na noc u gościnnego pana kierownika. Dzielimy się po bratersku prowiantami, wskutek czego nasze menu składa się z ziemniaków i kanapek z szynką, zsiadłego mleka i jarzębiaku. Temu ostatniemu zwłaszcza przypisuję ciekawe wyniki naszej rozmowy. Mój pan kierownik się rozkrochmalił i wyklada wszystko, co mu na sercu leży. A leży mu sporo.

Rozmowa nasza zaczęła się niewinnie od przemiłego felietonu Z. Nowakowskiego o „Dożywianiu wiosny“ i jego obrony wiejskiego dziecka przeciw zbyt surowej opinii dra Kuchty. Pytam pana kierownika o zdanie, co do zdolności dziecka wiejskiego. Ja sam mam niezłą o nich opinię. W gimnazjum wybijają się nieraz na pierwsze miejsce, a pamiętam i takich, którzy pisali mi w pierwszej klasie zadania szkolne wier-

szem, albo układali dramaty historyczne z własnymi ilustracjami.

W odpowiedzi pan kierownik daje mi książkę „Dziecko wsi polskiej“ opartą na ankietach z różnych stron kraju. Książka ta dochodzi do zupełnie innych wyników, niż dr Kuchta. Autorzy ankiet, przeważnie nauczyciele, a więc ci, którzy brak zdolności dzieci wiejskich odczuwaliby na własnej skórze, piszą o nim jednak przychylnie. Zgadza się wprowadzić, że pewne pozory przemawiają za niższością dziecka wiejskiego w stosunku do miejskiego. Zwłaszcza jeśli chodzi o swobodę w obcowaniu z ludźmi i łatwość wyśłowienia. Ale tych cech nie można identyfikować z inteligencją i zdolnościami. Autorzy ankiet wymieniają żywość umysłu, jako cechę dziecka śląskiego i podlańskiego, nowogrodzkiego i podhalańskiego, sieradzkiego, łowickiego, kieleckiego, lubelskiego i innych. Poza tym zwracają uwagę na uzdolnienia techniczne u dziecka śląskie-

go. i sieradzkiego, zdolność (wybitną) wnioskowania i teoretyzowania u dziecka nowogrodzkiego, zamięlowanie do geografii i nauk przyrodniczych u dziecka podolskiego, dużą zdolność wnioskowania u dziecka łowickiego. Niekiedy żywość umysłu łączy się z polotem wyobraźni, jak u dziecka podlaskiego, zdolnościami do muzyki (dzieci kresowe) lub plastyki (dziecko podhalańskie). Bardzo wyraźnie przejawiają dzieci wiejskie zamięlowanie i zdolności do sztuki scenicznej i tzw. sztuki stosowanej czyli artystycznego rzemiosła.

W ogólnym bilansie zatem wartość umysłowa dziecka wiejskiego przedstawia się i dodatnio i różnorodnie. Jest to rezerwat sił i zdolności jeszcze bardzo mało wykorzystany, zwłaszcza, jeśli zdamy sobie sprawę, jak „niekorzystny start“ ma dziecko wiejskie w stosunku do dziecka miejskiego. Przede wszystkim sami rodzice skracają jego dzieciństwo, zapędzając je jak najwcześniej do

pracy i do pewnego stopnia wykorzystując jako siłę darmową. Typowym zajęciem dziecka wiejskiego jest pasanie bydła, czego przecież łatwo dałoby się uniknąć przez rozpowszechnienie pasania zbiorowego lub wiązania bydła na wyznaczonych odcinkach pastwisk. Poza pracą zawodową, utrudnia jeszcze rozwój dziecku wiejskiemu wadliwa i krzywdząca sieć szkół i fatalne warunki życiowe. Obraz, który kreślą autorowie owej ankiety, jest wprost przerażający. Mówią oni:

„Dziecko jada jak się da, co się dla i kiedy się da... Dobrze jest już, jeżeli dziecko nie jest głodne“.

„Zimą, posiniałe z zimna, chodzą w podartych kapotkach, nawet dzieci zamożnych gospodarzy“... „Nakładają na siebie nieskończoną ilość gałganów, zamiast jednego ciepłego ubrania“.

Najgorzej jest z obuwem. Autor jednej ankiety, który określa okolice Szczercowa,

a więc leżące w sercu Polski, jako „Wyspę Ciemności“, mówi, że „dzieci od wczesnej wiosny do późnej jesieni chodzą boso i dopiero, gdy zimno przycisnie, kładą drewniane trepy wysłane słomą, a nogi powyżej stopy okręcają gałganami“. Brak butów jest jednym z powodów złej frekwencji w szkole.

Oczywiście główną przyczyną zaniedbania dzieci jest bieda wiejska, ale nieraz i brak opieki lub uświadomienia higienicznego ze strony rodziców, którzy dziecko traktują jako siłę roboczą, a często dbają o nie mniej, niż o inwentarz. Wzruszającą i tragiczną odpowiedź dała dziewięcioletnia A. W. z III oddziału (z Pokucia) na pytanie, czym chciałaby być: „Chciałabym być krową i dawać mleko, bo dobrze by mi było w domu“. Autor ankiety dodaje: „Czy tylko jej? Zapewne i wielu innym dzieciom byłoby lepiej, gdyby były inwentarzem. Więcej by o nie dbano, bardziej by odczuwano ich stratę“.

Nie dba się o dzieci i w dziedzinie czystości. Dziecko pokuckie jest „brudne, obdarte, niechlujne, często zawszone... W niektórych wioskach odległych od rzeki czy potoku są dzieci szkolne, a nawet i dorośli, którzy nigdy się w swym życiu nie kąpali“.

„Dzieci (z okolic Drohobycza) przycho-
dzące po raz pierwszy do szkoły wyglądają
czasem wprost strasznie. Nogi, ręce, szyja,
uszy — aż czarne. A przede wszystkim nogi
i ręce. Tworzy się na nich coś w rodzaju sko-
rupy, której usunąć potem nie sposób, a któ-
ra powoduje częste pęknięcie i krwawienie.
Włosy u dziewcząt to nie rzadko jeden strup,
cuchnący zjełczałym masłem i naftą, ze
straszliwą wszawicą“...

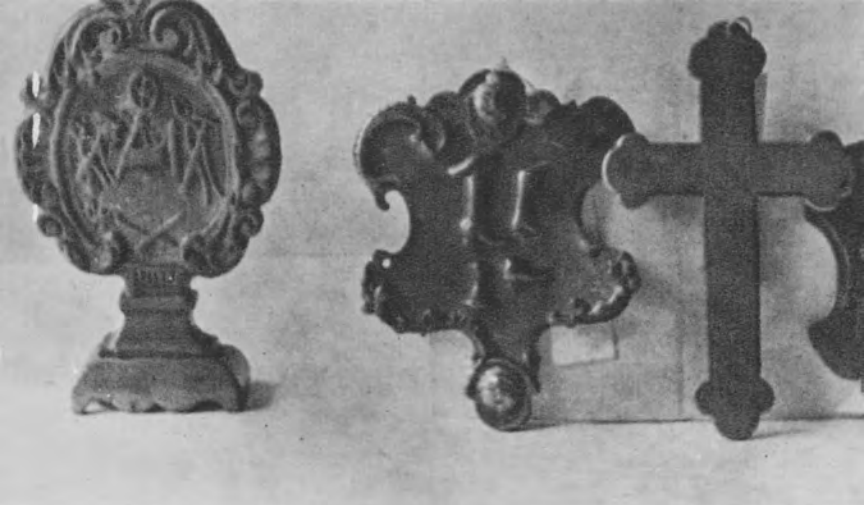
Tak pisze niestety wielu autorów, ale wie-
lu z nich również wskazuje na kontrast po-
między tym nędznym wyglądem a pięknem
wewnętrznym, przeświecającym przez brud
i łachmany. O dziecku mazurskim pisze au-
tor ankiety: „Braki zewnętrznej postaci o-

kupuje barwa oczu przepaścisto niebieskich, pociągających wyrazem niebywalej przyrodzonej poetyczności i szczerego wdzięku. Wygląda z nich dusza dobra i bogata, nierozbudzona, nieświadoma samej siebie...”

Podobnie inny autor:

„Ale jest coś w tym dziecku, co mimo niepozornego jego wyglądu zewnętrznego zatrzymuje uwagę i każe nam bliżej zainteresować się małym dzikusem. Owo coś — to oczy dziecka. Spośród łachmanów, nędzy, brudu i ogólnego zaniedbania wyglądają jakby światełka—oczy dziecka, oczy żywe, wyraziste, pozbawione tępoty i bezmyślności, nieraz badawcze i ostre, przeważnie łagodne i szczerze, oczy — zwierciadło duszy. Dziecko, które ma takie oczy, nie zawiedzie nadziei wychowawcy. Toteż najbliższe dni pobytu dziecka w szkole dają nam dużo spostrzeżeń i nadziei, że nasza praca nie pójdzie na marne“...

Szkoła... Wiele się na nią liczy na wsi, wie-



Cechy, t. j. znaki cechowe. Od lewej: 1. Cech stolarzy w Kolbuszowej, słynnej z mebli kolbuszowskich z XVIII w.; 2 i 3 — cech szewców z Rzeszowa z XVII w.



Skrzynka cechowa z Regionalnego Muzeum w Rzeszowie.
Obok kustosz P. Fr. Kotula.

Fot. J. O.

le może ona zmienić w tym błędnym kole, gdzie dziecko nie może się uczyć i musi pracować, bo rodzice są biedni, a rodzice są biedni, bo nie mają wykształcenia. Gdzieś trzeba przerwać ten *circulus vitiosus*, choćby wbrew woli zainteresowanych. Do późna w noc gadaliśmy z panem kierownikiem o tym cudownym narzędziu socjalnym, jakim jest szkoła, o ile... jest dostatecznie uzbrojona do walki. Niestety nie jest z tym uzbrojeniem najlepiej. Pan kierownik wyciąga notatki z jakiegoś kursu czy zjazdu i bije we mnie, jak taranem — faktami i cyframi. Nie krępuje się już teraz niczym:

— Czy pan wie, co znaczy podział na trzy „stopnie organizacyjne?” — pyta.

— Mniej więcej.

— Prawdopodobnie raczej mniej, niż więcej. Społeczeństwo wie o tym za mało. Inaczej podniósłby się taki krzyk, że nie przetrwałoby to i roku. Podział na „stopnie“ oznacza, że większość szkół wiejskich zosta-

ła zatrzymana ustawowo na niższym szczeblu rozwoju i dzieci z większości wsi polskich nie mają w ogóle szans dalszego kształcenia się. Czy pan wie, co to są tak zwane „zajęcia ciche”? Jest to zjawisko nieodłączne od szkół niższego stopnia i wygląda w ten sposób, że w tej samej klasie prowadzi się głośno lekcje z jednym rocznikiem, a jednocześnie drugi rocznik ma — teoretycznie — uczyć się po cichu czegoś innego. Wyobraża pan sobie pożytek takiej pracy?

— Ileż jest tych szkół niższego stopnia? — pytam niepewnie.

— O ile wiem, w naszym okręgu, tzn. w dwóch powiatach, na 197 szkół powszechnych w ogóle jest 107 szkół I stopnia, 50 stopnia II, a więc razem szkół niższego typu 157. Normalnych zaś szkół siedmioklasowych, w których każda klasa uczy się osobno, jest 40, z czego na wsi tylko... 20! Mało tego: tych szkół niżej zorganizowanych pra-

wie nikt nie kończy. Dzieci chodzą po cztery — pięć lat i na tym się urywa całe ich wykształcenie. A skutek tego? — Powrotny analfabetyzm.

— A czemu dzieci nie kończą nawet tych niższych szkół? — nacieram.

Pan kierownik śmieje się gorzko:

— Czemu? Przyczyn jest tysiąc i jedna. Często władze nas właśnie winią za złą frekwencję. Ale najistotniejszą przyczyną jest to, że obowiązek szkolny — nasz główny tryumf w odrodzonej Polsce — przestał właściwie istnieć. Ciemnych rodziców, nie rozumiejących interesu własnych dzieci, a przez to interesu całego narodu, nie możemy teraz zmusić do posyłania dziecka do szkoły. Podobnie jest z chciwymi majstrami i przedsiębiorcami, zatrudniającymi nieletnich. Poza tym — zła sieć szkolna, odległości, brak racjonalnego dowożenia dzieci, no i ubóstwo wsi oczywiście.

— A warunki pracy nauczyciela?

— A no, cóż? Mój „gmach“ pan widział. Takich jest w naszym okręgu około 60 (tak!). Trochę lepszych — z 80, dobrych z 50, takich zaś, jakie powinny być — aż... 4. (A jednocześnie gazety wypisują bzdury o „pałacach szkolnych“!). Warunki pracy? Na jednego nauczyciela wypada przeciętnie około 80 dzieci. Pod względem obciążenia dziećmi stoimy na 24 miejscu spośród 27 państw europejskich. Choroby nauczycieli są na porządku dziennym, a z nich gruźlica na pierwszym miejscu. W jednym roku — jak słyszałem — ilość opuszczonych (z powodu choroby) przez nauczycieli dni szkolnych dały w sumie około 10 lat szkolnych. Przyczyna: brak etatów zastępczych, które koniecznie powinny być przewidziane. Po moce szkolne sam pan widział. Trzecia część szkół nie ma mapy Europy, a żadna nie ma mapy innych części świata. Biblioteki szkolne — są przeważnie bez wartości. Słowem...

Urwał i siedzieliśmy długo milcząc. Po chwili dopiero odezwał się cicho:

— I dziwić się później, że w szkole średniej i wyższej nie ma prawie synów chłopskich. Czytał pan książkę Falskiego? Smutne cyfry. Procent dzieci wiejskich w I klasie gimnazjum w stosunku do I klasy szkoły powszechnej wynosi dla „wolnych zawodów“ — 100%, a dla chłopów małorolnych — 0,5%. Dopiero bogatsi gospodarze dochodzą do 4,1%. Oczywiście jeszcze mniejszy procent kończy gimnazjum, a już bardzo niewielki dostaje się do szkół wyższych...

Zaszedłem jeszcze na drugi dzień do klasy, kiedy była pełna. Osiemdziesiąt par oczu wpatrzyło się we mnie z oczekiwaniem i zaszemrało, jak w ulu. W izbie panował ciężki wilgotny zaduch z przemoczonych deszczem ubrań i niemytych ciał. Pan kierownik zdierał sobie głos przekrzykując ciągły, nieunikniony szmer tej olbrzymiej gromady. Poze-

gnałem go z podobnym uczuciem, jak bohater Żeromskiego swoją „Siłaczkę“.

Jechałem ze smutnym świątkiem w objęciach, w podłym, nieustępliwym kapuśniaczku.

*

*

*

Trochę otuchy nabrałem dopiero na wielkiej konferencji szkolnej zwołanej przez Kuratorium Lwowskie do sali Rady Miejskiej w Rzeszowie. Wymieniono tam 11 szkół powszechnych, które mają być budowane lub rozbudowywane w najbliższym czasie, a 14, które mają być uwzględnione w drugiej transzy. Mówiono o etatach nauczycielskich i kredytach, słowem wyglądało na to, że coś zaczyna się dziać w tym pozornie tak uprzywilejowanym, a w istocie tak nędznym Okręgu Przemysłowym.

Wystąpili też przedstawiciele sfer gospodarczych i szkolnictwa zawodowego. Nie rozwiązywali wprawdzie wielu zagadnień, ale

wskazywali na to, że jeśli jest droga, którą materiał ludzki ze wsi może się dostać do przemysłu — to jest nią jedynie i wyłącznie szkoła zawodowa.

— A jak jest teraz? — pytam dyrektora szkoły mechanicznej P. Blauta. — Iluż macie chłopców ze wsi?

— Około jednej trzeciej—odpowiedział.— Drugie tyle stanowią dzieci kolejarzy.

— Ciekaw jestem, jak się zabiera do roboty młodzież wiejska?

— Niech pan przyjdzie, to pan zobaczy—odpowiedział mi niby-to skromnie.

Poszedłem, zobaczyłem. Kupiłem nawet w Dziale Sprzedaży wspaniały klucz samochodowy, za którym rozbijałem się od dawna.

— Więc robicie takie rzeczy? — zdziwiłem się.

— Wiele rzeczy robimy! — odpowiada mi dyrektor Blaut i jego „szef sztabu“, inż. Nalborczyk, (spiritus movens szybownictwa

rzyszowskiego — mówiąc nawiasem). Są dumni, ale mają z czego. Chłopcy biorą się im do roboty z zapalem, zwłaszcza w dziedzinie praktycznej. Nie ma tam zmory i postrachu uczniów całego świata — stopnia „niedostatecznego“. Panuje nadzwyczaj mądra i niesłychanie wychowawcza zasada: zrobiłeś źle? — zrobisz jeszcze raz. Bo musi być dobrze!

Mimo, że pracują po 8 godzin na dobę, mimo że 65% dojeżdża i to aż spod Jasła, garną się uczniowie do tej szkoły tak, że w tym roku zabrakło miejsca dla 196. Wszyscy absolwenci szkoły mają w 100% zatrudnienie w fabrykach, warsztatach kolejowych, lotnictwie, wytwórniach broni i marynarce. Pracodawcy sami przychodzą nawet do szkoły poszukiwać ich.

Tylko... Tylko ta okropna ciasnota, w której muszą się dusić! Ten stary, koślawy domek; te małe salki; ciemne korytarze, brak internatu, brak wodociągu, większej ilości

maszyn i pomocy szkolnych. Brak tu bardzo wielu rzeczy, tylko nie dobrej i wytrwałej woli ludzkiej, na którą wciąż w Polsce zbyt wiele się ładuje, nie starając się ulżyć jej w niczym.

— Jaką młodzież panowie przyjmują? — pytam na zakończenie.

— Po ukończonej szkole powszechnej — odpowiadają mi.

— A jaki materiał otrzymujecie?

— Materiał niezły, ale braki ma spore. Szkoły powszechne trzeba by podciągnąć. To są pierwsze drzwi w świat dla dziecka.

Tak jest.

I trzeba te drzwi jak najszerzej otworzyć tym „zdziwionym, ciekawym i szczerym“ oczom, które na nas patrzą z — łachmanów.



SPIS RZECZY

str.

— Miasto Spytki Ligęzy	7
Nerwy i tętnice	29
Dawne i nowe czary	53
Czterolistna koniczyna	71
Chrzestni	91
Konotop i czumiza	111
Lampa nr 5	135
Sami sobie	159
Maszynki kolbuszowskie	187
Oczy w łachmanach	213

T A D E U S Z K A T E L B A C H

ZA LITEWSKIM MUREM

CENA Zł 7.—

...Książka p. Katelbacha jest ze wszech miar wartościowym przyczynkiem do studiów nad stosunkami polsko-litewskimi, a będąc jedną z bardzo nielicznych rzeczowych pozycji w naszej bibliografii, na terenie tego zagadnienia, zasługuje dzięki swoim zaletom, na polecenie jej tym wszystkim, którzy pragną poznać życie polityczne dzisiejszej Litwy.

„Kurier Warszawski”.

Współczesna Litwa — to dla nas „ziemia nieznana”. Ten kraj, tak bliski nie tylko geograficznie, lecz i uczuciowo, odgrodził się od Polski „litewskim murem”, przy którym przysłowiowy mur chiński wydaje się drobiazgiem.

Zrozumienie litewskiego sfinksa ułatwia książka Tadeusza Katelbacha „Za litewskim murem”. Jej wielka wartość polega na tym, że jest wynikiem bezpośredniej, wnikliwej i to paroletniej obserwacji życia litewskiego. P. Katelbach jest jedynym dziennikarzem polskim, który jako korespondent „Gazety Polskiej” przebywał przez 3 i pół lat w stolicy Litwy...

Najciekawsze są oczywiście karty poświęcone stosunkom polsko-litewskim. P. Katelbach analizuje bezstronnie cały ten skomplikowany kompleks uczuć, który składa się na stosunek Litwinów do Polski.

„Express Poranny”.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „R Ó J”

BOGDAN SUCHODOLSKI

USPOŁECZNIE NIE KULTURY

CENA ZŁ 6.—

Książka składa się z artykułów i rozpraw drukowanych w różnych czasach, stanowi jednak zamkniętą całość. Rozpoczynają ją rozważania wstępne, w których autor określa kulturę jako pewną postać wartościowego życia, poddaje rewizji potoczne zapatrywania na stosunek kultury do barbarzyństwa, opisuje wreszcie różnorodne przejawy jej zmienności i ruchliwości.

Część druga książki zawiera charakterystykę kultury współczesnej.

Część trzecia poświęcona jest analizie najważniejszego problemu współczesności: czy i jak kultura stać się może własnością powszechną? Jest to centralna część książki, która też dlatego nosi tytuł: Uspołecznienie kultury.

Część ostatnia odsłania perspektywę życia kulturalnego w Polsce. Wiążą się one z postacią Marsz. Piłsudskiego, wyrastają z drogi, po której wśród dzisiejszych trudności światowych iść powinna Polska.

*

*

*

...Książka Suchodolskiego świętego naukowca i publicysty należy do najciekawszych publikacji ostatnich miesięcy.

...Artykuły wszystkie wiążą się w jedno wspólne zagadnienie, które wyraża tytuł dzieła. Bogdan Suchodolski część ostatnią książki poświęca osobie Marszałka Piłsudskiego, analizując wartości wychowawcze Jego czynów i słów.

Lektura „Uspołecznienia kultury” zostawia niezatarte wrażenie.

„Polska Zbrojna”.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „R Ó J”

STANISŁAW GRABSKI

KU LEPSZEJ POLSCE

CENA Zł 6.—

Na książkę złożyły się artykuły zamieszczone przez autora w dziennikach, a poruszające aktualne zagadnienia gospodarcze i światopoglądowe. Grabski zebrał publikowane przez siebie w prasie artykuły, skompletował je w logiczną całość, w wielu miejscach pogłębił. Powstała stąd książka, która zarysowuje wcale wyraźnie pewną koncepcję polityczno-społeczną.

„Tęcza” K. Ż.

Książka prof. Grabskiego zasługuje nie tylko na przeczytanie, ale i na przemyślenie; ma ona znaczenie czynu obywatelskiego i pobudza do współdziałania w zbiorowym wysiłku tworzenia lepszej Polski.

Fr. Bujak.

TADEUSZ GARCZYŃSKI

PAŃSTWO NA PRZEŁOMIE

CENA Zł 5.—

...Książka Garczyńskiego ma duże walory popularyzatorskie. W obecnych czasach wielkiego zainteresowania sprawami państwa i jego przemianami jest ona bardzo na czasie, wprowadzając nas w sam środek współczesnych zagadnień.

„Dziennik Bydgoski”.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ”

J E R Z Y K U N C E W I C Z

REPUBLIKA GLOBU

CENA Zł 12.—

W chaosie współczesnego świata uległy przewartościowaniu wszystkie niemal fundamentalne doktryny, na jakich opierało się gospodarstwo społeczne do czasu, gdy kataklizm wojny zburzył jego podstawy. Byliśmy świadkami obalania jednego za drugim bożków, którym składali ofiary ekonomiści i politycy przeszłości; runął mit złota, rozpadła się w gruzy amerykańska „prosperity” bariery celne unicestwiły mit wolnej wymiany. Na miejscu tych obalonych bożków poczęto wznosić nowe; w miarę postępującego coraz bardziej chaosu powstawać poczęły na nowych zrębach nowe doktryny, usiłujące przebudować świat w celu podniesienia potencjału gospodarstwa narodowego — to treść dni dzisiejszych. Świat przyszły wszakże narodzi się nie z jednej zaślepionej doktryny, lecz z ich życiowego starcia, — pójdzie drogą tych osiągnięć jakie w każdej z tych doktryn wytrzymały próbę życia.

W fundamentalnej swej pracy, której pierwsze ogniwo ukazuje się na półkach księgarskich, J. Kuncewicz poddaje gruntownej analizie podstawy współczesnego ustroju i osiągnięcia jego reformatorów. Na głębokim przemyśleniu i bogatej wiedzy oparta krytyka teorii i praktyki komunizmu, faszystwu i rooseveltyzmu pozwala czytelnikowi w przystępnym wykładzie ocenić wkład twórczej myśli ludzkiej, wniesiony przez te odnowicielskie prądy i odrzucić ziarna od plew. Z całości wyłania się zarys nowej, płodnej koncepcji przebudowy świata, opartej o najwyższą zdobycz człowieka: jego zwycięstwo nad przyrodą.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „R Ó J”

